ROK WYDAWNICTWA PIĄTY

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

15 marca 1938 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
41 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy społeczne · literatura · sztuka ·

JÓZEF CIĄGLIŃSKI

WSPOMNIENIA O STRUGU

W styczniu 1896 r. znalazłem się powtórnie w X Pawilonie — sprowadzony z zesłania. Niezwłocznie od Stróżeckiego i Pietkiewicza przez znanego sprzymierzeńca więźniów Siedielnikowa dostałem gryps o wszystkiem, co się dzieje na świecie i w X Pawilonie. Dowiedziałem się więc, że przywieziono też z zesłania b. studenta warszawskiego Henryka Trenknera i że siedzi kilkunastu puławiaków w sprawie Towarzystwa Oświaty Ludowej. Trenkner miał w sprawach tego Towarzystwa stały kontakt z puławiakami, ja zaś raz w tych sprawach jeździłem do Puław. Zrozumiałem więc, że obaj zostaliśmy sprowadzeni do tej sprawy. Jakoż wkrótce nas przesłuchano, śledztwo zakończono i zakomunikowano, że będziemy trzymani do wyroków.

Po zakończeniu sprawy łączono jej uczestników przeważnie po trzech. Mnie złączono z Bronisławem Wesołowskim ze sprawy innej — esdeckiej. Po paru miesiącach, jako że nas było dwóch tylko, — kiedy naszego „zawiadowcę“ zastępował czasowo żandarm obcy, zwróciłem się do niego z oświadczeniem, że przed paru dniami spotkałem się przypadkiem na korytarzu z przyjacielem moim Trenknerem z tej samej sprawy i proszę go, aby, jeśli Trenkner się zgodzi, sprowadził go do nas. Po kilku dniach przeprowadzono nas z Wesołowskim do celi nr. 73, przyprowadzono Trenknera i puławiaków Gałeckiego i Śniechowskiego.

Cela nr. 73 na 10 korytarzu była narożna, podwójna, przedzielona szeroką niszą, z trzema oknami, w narożnej połowie niewidzialna z „judasza“, w drugiej połowie między drzwiami i niszą miała piec z paleniskiem od wewnątrz. Cela ta grała ogromną rolę w X Pawilonie. Z niej Stróżecki, Pietkiewicz i Kulik, których właśnie wywieziono do Moskwy, utrzymywali stały kontakt z miastem i resztą Pawilonu. Przez Siedielnikowa otrzymywali oni nielegalszczyznę, t. j. „Robotnika“, „Przedświty“, odezwy, wiadomości ze świata i listy do więźniów i przez tegoż Siedielnikowa rozsyłali po całym X Pawilonie. Rola ta skolei przypadła nam. Wypadała z niej i potrzeba palenia starej, zwróconej nielegalszczyzny, co było ułatwione przez to, że mieliśmy złożony w celi węgiel i drzewo i paliliśmy w piecu sami, kiedyśmy chcieli. Palić trzeba było bardzo ostrożnie. Ja rolę „ogniomistrza“ spełniałem tak, że Gałecki dowodził, iż mogę wkładać ręce do ognia i brać w nie gorące węgle. Przy całopaleniu stawał zwykle przy piecu i wywodził, co to się pali w piecu celi strzeżonej przez żandarmów X Pawilonu i coby to było, gdyby się to raptem stało publicznie wiadome. W celi tej Gałecki odczytywał nam z kajetów swoje pierwsze utwory — z życia Marysiek, Kasiek, Antków i Walków.

Mieliśmy warsztat introligatorski i oprawialiśmy książki, dużo swoich, — pawilońskie (z bibljoteki) i trochę Siedielnikowa. Między innemi oprawiliśmy Gałeckiego wielką biblję z ilustracjami Dorée‘go i do jej okładki wkleiliśmy dokument, że wtedy i wtedy w celi X Pawilonu nr. 73, gdzie ją oprawiono, siedzieli tacy i tacy, stwierdzający ten fakt swemi podpisami. Przeżyliśmy wtedy razem odkrycie promieni Röntgena. Pamiętam też, jak spowodu jakiegoś konkretnego przykładu, — bodaj Lwa Tichomirowa z „Narodnoj Woli“ — Gałecki wydziwiał: Był socjalistą, a potem przestał nim być. Jestem socjalistą i przestaję nim być! Jak to być może? Gdyby niezachwiane w bezkompromisowości z sumieniem życie jego można było uważać za dowód ogólny, byłby to dowód, że istotnie bez łamania sumienia jest to niemożliwe.

Wiosną 1897 r. przyszły wyroki i wypuszczono nas przed wyjazdami do miejsc zesłania. Widziałem się więc z Gałeckim też na wolności. Poznałem wtedy jego matkę.

W maju 1902 r. po powrocie z Syberji i niezwłocznem „wylaniu“ z Warszawy i kraju, znalazłem się w Krakowie i byłem tam do jesieni 1903 r. Zastałem tam już Trenknera i Gałeckiego — z żoną, Honoratą. Należeliśmy wtedy razem do ówczesnej sekcji krakowskiej P. P. S. Wobec przeniesienia z Londynu do Krakowa „Przedświtu“ pod redakcją Leona Wasilewskiego, sekcja krakowska brała czynny udział pomocniczy w wydawaniu tego organu zagranicznego P. P. S. Interpelowaliśmy też wielokrotnie z jego powodu na zebraniach sekcji Wasilewskiego i zgłaszaliśmy do niego też wiele innych pretensyj. Pamiętam, jak raz w sprawie „Przedświtu“ Gałecki powiedział do otaczających: Jemu chodzi tylko o okładki „Przedświtu“, żeby co miesiąc się ukazywały, a co jest pod niemi wewnątrz, to go nie obchodzi. — Z inicjatywy Leona Falskiego na zebraniach sekcji toczyła się sprawa ogłoszenia w „Przedświcie“ rehabilitacji Marcina Kasprzaka. Wasilewski przeciwstawiał się temu zasadniczo i zwierzchniczo, że sekcja nie ma prawa kwestjonować merytorycznie treści komunikatu, ogłoszonego oficjalnie przez wyższą instancję partji. Przypadkowo raz Piłsudski był na zebraniu sekcji i przy nim też podniesiono tę sprawę. Piłsudski zajął stanowisko Wasilewskiego. Gałecki przeciwstawiał się Piłsudskiemu. Nie zachowałbym zapewne tego w pamięci, gdyby nie to, że później jeden z członków sekcji (Władysław Ma-wicz) oburzał się na Gałeckiego: Jak to można tak ostro spierać się z Ziuczkiem! Czyż można tak mówić do Ziuczka? — Było wówczas między nami, szczególniej ze strony Józefa Kwiatka, wielkie zainteresowanie pisarstwem Gałeckiego, o którem on nie chciał nic mówić. Z tego powodu, z inicjatywy Kwiatka ofiarowaliśmy mu na imieniny teczkę do papieru z wytłoczonym u góry złotym napisem: **Tadeusz Gałecki.**

Od czerwca 1904 do końca 1905 r. i od maja do listopada 1906 r. byłem w Warszawie jako pracownik wydziału technicznego partji i spotykałem się znów z tow. Augustem, który pracował w wydziale wiejskim razem z Felkiem (Józef Ciszewski) i Jerzym Wiejskim (Bolesław Giliczyński). Została mi w pamięci moja wizyta u Augusta w jego mieszkaniu przy ul. Kruczej nr. 4 w oficynie prawej na 4 piętrze, gdzie miałem dostać od niego rękopis odezwy. Przyszedłem około 12 w południe. Otworzyła mi Honorata i powiedziała, że Tadeusz jeszcze śpi, ale żebym poszedł do niego i obudził go. Istotnie, zastałem go w łóżku przecierającego oczy. „Ja dopiero nad ranem się położyłem i chce mi się spać, idź precz z łaski swojej, kochany“. Nie poszedłem, rękopisu nie było. „Honor, na honor, chodź obronić mnie przed tym napastnikiem, któregoś sama zdradziecko puściła“ — wołał do żony. Wkońcu się poddał. „Honor, podaj mi szaty, bo przecież nie mogę wstać i pisać odezwę bez szat“. Pani Honorata podała szaty, ubrał się, zażądał herbaty, skręcił papierosa i zaczął pisać odezwę, pociągając papierosa, popijając herbatę i wypowiadając głośno dla porozumiewania się ze mną układane zdania.

Był to czas burzliwych trzech zjazdów partji (VII, VIII i IX) i trzech rad — dwóch pomiędzy pierwszemi dwoma zjazdami w 1905 r. i trzeciej, czerwcowej, przed ostatnim, rozłamowym, listopadowym zjazdem 1906 r. Na pierwszej z nich Wit (Walecki, Max Horwitz) oświadczył radzie, że ma coś ważnego do zakomunikowania, ale tak konspiracyjnego, że nie może tego zrobić na plenum rady, prosi więc ją o wybranie specjalnej komisji do wysłuchania go i powzięcia opinji, którąby potem rada uznała za swoją. Wybrano komisję w składzie, do którego wszedł też tow. August. Komisja orzekła, że do tow. Mieczysława (Piłsudskiego) partja nie może mieć zaufania.[1]) W rezultacie tego Mieczysław nie był wybrany i następnie już do rozłamu nie był wybierany do C. K. R.; zakomunikował on radzie, że odtąd nazywa się nie Mieczysław, lecz Mścisław. Był to moment — miała też w nim udział opinja Augusta — faktycznego rozłamu partji, który wszakże przetrwał w ukryciu jeszcze przez dwie rady i jeden zjazd pomiędzy niemi — aż do zjazdu rozłamowego (IX).

Nastał wreszcie czas emigracji powszechnej. W tym czasie widziałem Gałeckiego raz w Wiedniu, gdzie zaszedł do mnie w drodze powrotnej do Paryża, już jako pisarz i Strug.

Później, po wojnie, widywałem go już tylko na pogrzebach w Warszawie: jego matki, siostry Strużyńskiej (od której nazwiska, jak sądziłem, wziął swój pseudonim i o której synach, swych siostrzeńcach Strużyńskich, opowiadał w X Pawilonie) i żony Honoraty (spoczywa na Powązkach w drugim rzędzie, drugi lub trzeci grób od słupka nr. 100). Na pogrzebie mec. Śmiarowskiego Strug przedstawił mnie swojej drugiej żonie, Nelly, i powiedział, że przyszedł czas, abyśmy **na skłonie liet** odnowili swą starą przyjaźń, i że on, jako młodszy, przyjdzie do mnie. Poprosiłem go, aby to zrobił, — ale nie zrobił. Przyszedłem ja, — ale już do chorego. Pierwszy raz nawet nie mogłem go widzieć, drugi raz, — kiedy mu się polepszyło, widziałem go przed wyjazdem do Zalesia. Trzeci raz — w trumnie.

Sądzę, że należy ustalić pewne fałszywie rozpowszechnione fakty. Po rozłamie Strug został, — i znów sądzę, iż jest jasne, że nie mógł nie pozostać, — w Lewicy. Jak stwierdza Besem, odezwa majowa 1907 r. W. K. R. P. P. S. Lewicy była napisana przez niego; z Paryża zgłosił swe wystąpienie z partji bez motywowania kartą pocztową pod adresem administracji „Myśli Socjalistycznej“ w Krakowie. Adam Próchnik[2]) stwierdza, że na zaproszenie Baja (B. A. Jędrzejowski, dawny londyńczyk) odpowiedział wstąpieniem do Frakcji Rewolucyjnej. Dalsze fakty są już powszechnie znane: wstąpił do Strzelca i do Legjonów; po udziale w przejściowym Rządzie Lubelskim nie przyłączył się do kursu rządowego, należał do P. P. S. powojennej i z niewzruszoną obojętnością wytrzymał wszystkie ostre ataki za to, że był jawnym bezwyznaniowcem, rzecznikiem człowieczeństwa, obrońcą praw człowieka i obywatela, pacyfistą i twórcą swego „najdoskonalszego dzieła“, — własnego życia „niezłomnego rycerza idei, którą wyznawał, której służył, o którą walczył niezłomny“ (St. Sempołowska).

Ciekawe, że Próchnik nie może sobie wyobrazić po rozłamie Struga w Lewicy — jedynem dla niego wówczas możliwem miejscu: „... w każdym razie — pisze — w owym czasie (po rozłamie) nie był już związany z lewicą, a stanowił wraz z Józefem Kwiatkiem i Stanisławem Posnerem grupę integralistów“; powołując się na wspomnienie Michała Sokolnickiego o zebraniu robotniczem „na przedmieściu Warszawy w epoce porozłamowej, na którem Strug reprezentował stanowisko lewicy, Sokolnicki zaś Frankcji Rewolucyjnej“, powątpiewa o jego prawdziwości i snuje przypuszczenia, że to było albo przed rozłamem, albo że Strug reprezentował stanowisko centrowe. Otóż hipotezy są uprawnione wtedy jedynie, kiedy są przedewszystkiem objektywnie potrzebne, czego tu niema. Przed rozłamem była grupa centrowa, wypowiadająca się za unikaniem rozłamu, do której oprócz wymienionych można zaliczyć jeszcze ze dwóch, ale wątpię, czy można zaliczyć Struga, o którym wiem, jak ostro występował przeciwko powstaniowym koncepcjom. A po rozłamie i uchwaleniu nowego programu Lewicy tylko Kwiatek występował — nawet namiętnie — przeciwko nowej partji Lewicy — w Krakowie w referatach, wykładach (w Uniwersytecie im. Mickiewicza) i dyskusjach, powołując się wciąż na cytaty z Marxa, jakgdyby Marx opierał się na analizie konjunktury 1905 roku, albo jakgdyby partyjny program, definjowany dla jasności jako **program minimum** (gdyż sformułowanie i umotywowanie celu ostatecznego partji socjalistycznej (program maximum) zawiera się, w obowiązującym partję socjalistyczną „Manifeście“ Marxa), był niezależny od analizy konjunktury bieżącej. W ścisłem znaczeniu Strug nigdy nie należał do jakiekolwiek ideologicznej, ściślejszej grupy w partji, a szedł zawsze luzem, co wynikało z jego wybitnej indywidualności, która skazywała go w pewnym sensie na samotnictwo przez całe życie.

Niewątpliwie, w obu okresach politycznie czynnych — po obu stronach międzyczasu („pomiędzy wczoraj i jutrem“). Paryża i Legjonów — polityczne oblicze Struga było odmienne. Różnica była nie taka, jaka pomiędzy P. P. S. Lewicą i P. P. S. powojenną, lecz taka, jak pomiędzy wyszłą z podziemia czynną walką klasowo-polityczną 1905 r. i wtłoczoną w podziemie powojenną walką demokratyczno-polityczną. Dwie epoki różne i dwa spełniane w nich zadania różne przy tej samej jaźni tego samego Augusta-Struga.

[1]) Sprawa jego zatajonego przed partją wyjazdu do Tokjo.

[2]) „Człowiek rewolucji“, „Czarno na Białem“, 13. II. 1938 r.

JERZY KAMIL WEINTRAUB

ILJADA

Niosłaś, siostro, śpiewne naręcza, liście westchnień na gałązkach świtu.
Niosłaś, siostro, wieniec dźwięcznych blasków ku strzelistym, jasnym arkadom.
Dzisiaj, muzo, głosząca gniew męża, gniewny liryzm w twej piersi się spiętrza,
a wzburzenie w falujący oddech dumne piersi ostro uwypukla.
Niesiesz oręż żelaznej epoce, już nie tobie, zastygła Hellado,
a na ramion wyniosłość spadają słońc upalnych gorejące pukle.

Dzisiaj jesteś także muzą gniewu, o dziewczyno hiszpańska, Dolores.
Choć jesteśmy od ciebie daleko, rozpłomieniasz liryczne ustronie.
Niesiesz słowa, spowite w sztandary, rosną łuny dalekiego śpiewu,
a ta przestrzeń między nami a tobą spala dłonie i serca nam rani.
Niema ciebie zastygła Hellado. Inne epos niedaleko płonie,
by pokojem z ciepłej krwi zrodzonym kwitły żyzne pastwiska Hiszpanji.

ZOFJA SZYMONOWICZ

O KURSACH WICIOWYCH

Kiedy wieś została pozbawiona pomocy nauczyciela i instruktora, nie opuściła rąk. Wraz ze wzrastającym buntem przeciwko łaskawości dawnej instruktorskiej roboty budziła się w ruchu chłopskim krytyczna myśl i potrzeba uświadamiania się.

Wiciarze rozejrzeli się po sobie. Przeliczyli siły. Nie było tak źle. W każdej prawie wsi znalazł się żywszy, oczytany i społeczny chłopak lub dziewczyna, nierzadko po Uniwersytecie Wiejskim w Szycach, zawsze zaś wychowany w Kole Młodzieży.

Zostali starsi koledzy po wojewódzkich i uniwersyteckich miastach, pracownicy związku, często akademicy-chłopi. Został Uniwersytet w Szycach, potem w Gaci.

Zaczęła się osobliwa robota. Gdzieś tam za światami schowana wieś organizuje kurs oświatowy. Wysuwa sprawy, o których chce wiedzieć i dyskutować, wybiera prelegentów. Są to często koledzy z tej samej albo sąsiedniej wsi. Są — za ciężko uskładane grosze sprowadzeni zdaleka przyjaciele.

Obok prelegenta, który ukończył studja wyższe, staje prelegent samouk, i jednako poważnie przyjmowane są ich słowa.

Kursy, organizowane podobnie jak życie w uniwersytetach ludowych, nietylko uczą. Kierownik kursu, najczęściej jeden z kolegów, jest przedewszystkiem wychowawcą. Wychowawcami muszą też być wykładowcy, koledzy.

Niema regulaminu — rozkazu. Jest umowa kierownictwa ze słuchaczami: że trzeba wstać o tej godzinie, skrzepić się wspólną gimnastyką i śpiewem — w lecie kąpielą — że na kursie obowiązywać będzie wzajemna pomoc i rzetelna robota.

Toteż z własnej już woli krzątają się wszyscy przy sprzątaniu, podawaniu jedzenia czy innych robotach kursowych.

Kursy takie trwają dwa dni, kilka dni, tydzień, dwa, bywały też dłuższe. Gotują na nich koleżanki, najczęściej z ukończoną szkołą gospodarczą, choć i te, przez mamusie tylko uczone sztuki gotowania, spisują się dzielnie. Wykładowcy i słuchacze razem jedzą (to samo!), razem spędzają czas, nawet na wykładach innych kolegów. Biorą udział w dyskusjach.

Młodzież oddaje wykładowcom osobne izby do wypoczynku i pracy, rozumiejąc, że to nie wyróżnienie, lecz pomoc w dobrem spełnieniu obowiązku.

Jakie żądania wysuwa młodzież przy wyborze tematów i ludzi? Żąda przedewszystkiem rzetelnego wyjaśnienia spraw ustrojowych i gospodarczych w świecie i w Polsce. Dalej — sprawy kultury człowieka i sensu życia, sensu wszystkiego, co się robi. Żąda wiedzy o przyrodzie, dziejach ludzkich, żąda pięknej książki i piękna wogóle. Dlatego nie waha się zaprosić profesora Bujaka lub profesora Kota, dlatego zaprasza wybitnych spółdzielców i wychowawców. Każdego, kto jest przyjacielem, sprawę poda prawdziwie i wiedzę swoją da na usługi gromady.

I nierzadko bywa, że powagi naukowe lub społeczne wchodzą w kursową gromadę na prawach starszych kolegów, obowiązani stosować się do wszystkich przez gromadę przyjętych obyczajów.

Żywiołowo garną się do życia wyzwolonego dziewczęta. Dlatego coraz częściej prelegenci lub prelegentki omawiają sprawy życia rodziny i jednostki.

Najciekawszem zjawiskiem w tej osobliwej samodzielnej robocie wychowawczej są właśnie ci wykładowcy z sąsiedniej chałupy albo wsi.

Możnaby lękać się dyletantyzmu, powierzchowności w ich pracy. Ale miarą wartości ich wykładów jest osąd gromady i dyskusja. W każdej wsi znajdują się ludzie inteligentni, rozpatrzeni w świecie. Bez przesady twierdzę, że w kwestjach społecznych, gospodarczych, kulturalnych i wogóle ludzkich, szczególnie bieżących, o wiele więcej ma dziś do powiedzenia chłopak z Koła Młodzieży Wiejskiej, aniżeli przeciętny „inteligent“ z miasta.

Wykład jest kontrolowany, krytykowany, budzi dalsze żądania, wywołuje gorące dyskusje. Pragnienie wiedzy łączy się u młodych z koniecznością, musem wewnętrznym wykorzystania tej wiedzy we własnym sposobie urządzania życia. Dlatego obok wykładów pouczających, wyjaśniających, są wykłady, wyrażające wiarę, przekonanie mówcy, jego sposób rozwiązania kwestji. Jakże często „uczony“ bardzo człowiek wyjeżdża z takiego kursu z głęboką, nową wiedzą o życiu i ludziach. Zaś kolega wykładowca zawsze jest przez kolegów zmuszany do coraz rzetelniejszej pracy nad sobą, aby mógł coraz więcej dawać gromadzie.

Wieś nie kłania się do kolan ludziom stanowiska czy nauki i nie lekceważy swoich własnych, nieuczonych dzieci. Jednych i drugich traktuje z życzliwością prostego serca.

Oto kilka dni temu widziałem młodą dziewczynę, gacankę, w czasie organizowania przez nią kilkudniowego kursu dla koleżanek. Robiła to we wsi, która znała ją z poprzednich kursów.



»Wiciarka« fot. L. Lutyk

Doprawdy, wzruszający był stosunek matek, ojców, ludzi starych, do tej dziewczyny, która ani szkół nie ma, ani nie przyjechała z miasta, ot, z trzeciej wsi przyszła.

Gościli ją jak umieli. Ten chciał ją mieć i ten, biegali z jej poleceniami do sąsiednich wsi, wypowiadali swoje żale, kłopoty, szukali u niej rady. Ona zaś dla młodych i starych i dla małych dzieci miała uśmiech, wesołość i tę — trudną często — radę. Szczególnie kobiety przyjmowane są z podziwem i zaufaniem. Sama z własnych wędrówek po wiciowych kursach wyniosłam wiele głębokiej radości i wiary w ludzi. W czasie wykładów, często w nieopalonej izbie domu ludowego, setki oczu, uszu, chłonących życzliwie, a myśląco. Często wyraz buntu, często gorącość w reagowaniu, czasem łzy. Wszystko chcą wiedzieć i rozumieć, o wszystkiem chcą sami stanowić. Przed i po każdym wykładzie — śpiew.

A potem, wieczory długie w gwarze z młodymi i rodzicami. Ileż tam próśb o „przemówienie“ w jakiejś serdecznej sprawie do matki lub ojca. Albo żeby „z nim“ pomówić, albo „z nią“. Najczęściej zaś sprawy kas, kółek, wieczoru i t. p.

Wykładowca na wiciowym kursie jest pożądany, ceniony niezależnie od stanowiska i wykształcenia, lecz w zależności od swego stosunku do ludzi. Staje się on, dzięki bezpośredniości odnoszenia się do ludzi, znawcą stosunków gromadzkich i osobistych wsi, staje się powiernikiem, doradcą i pokrzepiającą głęboko siłą.

Dzięki samodzielnie stawianym przez wieś żądaniom, samodzielnemu wyborowi ludzi stwarza się naturalny, samodzielny i głęboki ruch samowychowawczy.

Z gromady wiejskiej wychodzą coraz liczniejsze zastępy mądrych, przodujących ludzi, przez zaufanie gromady wysuniętych na czoło.

Wespół z nimi wieś sama wypracowuje określoną, realną i gorąco upragnioną Polskę Sprawiedliwą.

MARJAN CZUCHNOWSKI

Z dziejów demokracji polskiej

Lapidarna, zwarta, stanowczo za krótka i zbyt zwięzła, spartańska w stylu, oszczędna w faktach, które pełne są ludzkiej krwi i żywych postaci bohaterów, książeczka Wincentego Banasia*) powinna się znaleźć w rękach każdego oświatowca chłopskiego i robotniczego, w rękach każdego człowieka pracy, aby z niej mógł poznać przeszłość, aby nauczył się rozumieć teraźniejszość i umiał unikać błędów na przyszłość, której chce i o którą się zmaga.

Tematem pracy Banasia są wstrząsające dzieje naszych tragicznych poprzedników w walce o wolność, niepodległość i demokrację, naszych ojców duchowych. Polska współczesna, demokracja i demokratyczny ruch ludowy nie muszą szukać tradycji i uzasadnienia dla swej postawy w zagranicznych prądach i ruchach demokratycznych, wystarczy im sięgnąć w naszą niedaleką przeszłość, przetrząsnąć karty legalnych i nielegalnych wydawnictw, wziąć grudę czarnej, polskiej ziemi i wycisnąć z niej krew powstańców i rewolucjonistów demokratów, aby w naszej, polskiej, narodowej, prawdziwie ludowej historji znaleźć świetne myśli, rewolucyjne natchnienie, demokratyczne dążenia i programy, żywą myśl reformy ludowej, która rodziła się w polskich głowach podczas narodowej niewoli i ucisku zaborców.

Podobnie jak francuski i niemiecki ruch demokratyczny, również i polski obóz ludowy posiada w naszych dziejach wspaniałych poprzedników, swoją ludową tradycję, swych bohaterów, którzy o ideał Polski Ludowej oddali życie w lochach austrjackich i pruskich więzień, na szubienicach caratu i w powstaniach narodowych.

LUD POLSKI

Pierwszą, w zachodnio-europejskiem pojęciu organizacją, i to należy mocno podkreślić, organizacją, było stowarzyszenie emigrantów żołnierzy, uczestników powstania listopadowego r. 1831, którzy wyraźnie podkreślili swój program plebejski, program ludowy o charakterze rewolucyjno-radykalnym, przeciwstawiając się demokratom-szlachcicom, wprawdzie też walczącym z bronią w ręku podczas powstania przeciw zaborcom o niepodległą Polskę, ale nie o Polskę Ludową. Organizacja ta znana pod nazwą „Ludu Polskiego“ grupowała w swych szeregach przedewszystkiem chłopów-żołnierzy, uczestników powstania listopadowego, pochodzących w większości ze sławnego „Pułku Czwartego“; po zgnieceniu powstania przeszli oni z bronią w ręku granicę pruską i nie poddawszy się razem ze swymi kilkoma czerwonymi oficerami-szlachcicami byli postrachem Prusaków, potem rozbrojono ich i trzymano przez dwa lata w twierdzy Grudziąż. Ponieważ owi chłopi polscy nie chcieli po ogłoszeniu przez Mikołaja I lisiej amnestji udać się do Kongresówki, Prusy pozbyły się ich przemocą, odsyłając Francji, ta skolei pchnęła ich wkrótce do Anglji, gdzie zostali izolowani w Portsmouth. Tam w r. 1835 powstała organizacja „Ludu Polskiego“, Gromada Grudziąż i Humań. Organizacja miała wszystkie cechy partji politycznej o nowoczesnym, rewolucyjnym programie polityczno-gospodarczym. Demokratom szlacheckim z paryskiego hotelu Lambert z księciem Czartoryskim na czele przeciwstawiała program ludowy. Zasadniczą różnicą między dwoma obozami niepodległościowemi było to, że „Lud Polski“ stał na stanowisku odbudowania Polski i uzyskania niepodległości przez lud dla ludu, zaś szlacheccy demokraci utrzymania starego porządku. W jednym ze swych manifestów — programów piszą wodzowie „Ludu Polskiego“: „Nie zabaczyliśmy (t. j. nie zapomnieliśmy — przyp. aut.) jeszcze, jak w Legjonach Polskich szlachta krzyczała: Wolność, Równość, a po powrocie do kraju za bunt poczytywała choćby najlżejszą o równości powiastkę. Mędrsi jesteśmy. I teraz, jeśli wy sami waszej dobijecie się ojczyzny, sami do niej wracajcie, bo my drugą, przeciwną wam jesteśmy ojczyzną“. Twarde to słowa chłopskiej prawdy, ale znamienne. Może nigdy przedtem nie ujawnił się bardziej rozdział pomiędzy pojęciem chłopskiej (ludowej) i szlacheckiej (pańskiej) ojczyzny.

Program „Ludu Polskiego“ choć od jego założenia upłynęło już 102 lata w niczem nie sprzeniewierzył się chłopu mieszkającemu w Polsce, — od ziemi obszarniczej bez odszkodowania po żądanie wolności dla ludu, powszechnej równości, zniesienia klas, przywilejów i różnic między ludźmi.

DEMBOWSKI

Frapująca postać Edwarda Dembowskiego czeka na swego historyka. Syn kasztelana, bardzo zdolny, utalentowany, wykształcony, wstępuje do „Związku Narodu Polskiego“, zrywa łączność ze swą klasą, wypiera się jej jak upiora i staje się głównym teoretykiem odłamu plebejsko-ludowego, kładącego nacisk na przewrót socjalny. Niewątpliwie w latach 1839—1846 do wybuchu powstania krakowskiego, na terenie organizacji „Związku Narodu Polskiego“, postać Dembowskiego jest zjawiskiem bardzo wybitnem. Śmierć od kuli zaborczej w powstaniu krakowskiem w r. 1846 kładzie kres krótkiemu, ale niesłychanie czynnemu życiu rewolucyjnemu Dembowskiego.

Dembowski, dialektyk, demokrata o wielkiem poczuciu odpowiedzialności za głoszoną ideę, wszechstronnie obeznany z zachodnioeuropejskiemi prądami politycznemi, umiał wyciągając z nich wnioski, znaleźć polskie demokratyczne rozwiązania problemów socjalnych dla Polski, umiał znaleźć przy ogólno-rewolucyjnej treści polską formę dla jej pełnego ujęcia. Powiada: „...Kto miłuje lud polski i miłuje lud niemiecki i lud francuski, miłuje każdy lud, miłuje ludzkość, bo wszędzie lud jednaki jest, tylko mniej lub więcej przygnębiony, tylko mówiący różnemi językami... Lud, ludy, ludzkość (ogół ludów, człowieczeństwo) jeden wspólny interes, jeden wspólny żywot mają. Są jednem i tem samem, bo jest poświęcenie się ludu dla siebie. Miłość samego siebie w czynie... krócej, bezwzględna wspólność“.

Dembowski znakomicie odróżniał praktyczną działalność od słów, czyn od papierowego przyrzeczenia, gdy pisał w jednym z artykułów: „Cóż znaczy bowiem, że wyznaczano poddaństwo z ustaw, kiedy zatrzymane jest w czynie“. Był to umysł krytyczny, trzeźwy, choć płomienny marzyciel-agitator i żywy temperament.

Na tle roku 1846, roku klęski krakowskiego powstania i porywu mas chłopskich pod wodzą Jakóba Szeli, szczególnie brzmią słowa Dembowskiego o sprawie włościańskiej. Czytamy w jednym z fragmentów utworu „Z notatek warjata“: „...Przyjdzie chwila, gdzie lud cierpieć nie będzie, i nie będzie panów ani chłopów, tylko ludzie. I wszyscy zaś kochać będą.

— Cóżby się zaś stało z panami?

— Zginą, którzy nie zechcą być ludźmi, ale będą nad człowieczeństwo przenosić swój klejnot szlachecki...“.

Te właśnie słowa należy przypomnieć, gdy mowa o ruchu Jakóba Szeli przeciw panom. Te słowa Dembowskiego o panach, „którzy nie chcieli być ludźmi“, i los zgotowany im przez Szelę, tłumaczą ówczesną sytuację polityczną i ukazują świadomość jej w płomiennym umyśle wodza powstania krakowskiego lepiej, niż wszystkie późniejsze dramaty synów szlacheckich. Dembowski widział prawdziwy stan rzeczy i nietylko go nie ukrywał, ale ostrzegał; dopiero wyrżnięcie kilku tysięcy szlachciców przez pańszczyźnianych chłopów nadało słowom Dembowskiego autorytet „proroka“.

KSIĄDZ ŚCIEGIENNY

Obok działaczy i wodzów „Ludu Polskiego“, obok Dembowskiego, świetną postacią polityczną i ludzką jest w naszej historji demokracji, po załamaniu się powstania listopadowego aż do „wiosny ludów“ w r. 1848, ksiądz proboszcz w Chodlu, Ściegienny, chłop, szczery rewolucjonista i pionier ruchu ludowego w Polsce. Ksiądz Piotr Ściegienny, syn pańszczyźnianego chłopa z Bilczy koło Kielc, szedł twardo od dziecka przez życie do nauki i wiedzy (ur. w r. 1800): przepycha się przez szkółkę parafjalną, kończy chlubnie szkołę wojewódzką w Kielcach, później, po różnych tarapatach i trudach kolegjum Pijarów w Warszawie na Żoliborzu. Po rozwiązaniu Pijarów osiada najpierw jako wikary w Wilkołazie, zaś od marca 1844 jako proboszcz w Chodlu. Zanim został duchownym, prowadził szeroko rozgałęzioną, konspiracyjną działalność rewolucyjną już od r. 1835, udoskonalił ją zostawszy księdzem. Krzywda chłopska pod zaborem rosyjskim i lojalnego wobec cara polskiego obszarnictwa, które wzywało rosyjskie wojsko dla „uśmierzania“ polskich chłopów, wzrosła szczególnie koło roku 1840. Jej etapem było powstawanie chłopów przeciw panom i szerszy ruch masowy w Galicji w r. 1846. Ściegienny szykował spisek, chciał wzniecić powstanie przeciw panom i zaborcom równocześnie, uważając jednych i drugich za nieszczęście dla ludu. Spowodu „wsypania“ spisku przez jakiegoś szpicla czy prowokatora-szlachetkę został aresztowany w r. 1844 w przeddzień wybuchu chłopskiego powstania. Skazany na śmierć i „ułaskawiony“ na szafocie ustawionym w Kielcach przed katedrą, przebywa na katordze w Omsku, po amnestji wraca do kraju, nie tracąc do śmierci kontaktu z masami ludowemi i ruchem rewolucyjnym w Polsce. Umarł w Lublinie w r. 1890 jako kapelan szpitala.

Ksiądz Ściegienny jest autorem niebywałego i jedynego w dziejach demokracji europejskiej dokumentu — dzieła politycznego. Jest nim „Złota książeczka“ wydana jako rzekoma bulla papieża Grzegorza XVI do chłopów polskich, wzywająca ich do wojny z panami. Wyłożył w niej ksiądz-rewolucjonista główne zasady ruchu. Jest to program demokratyczny, oparty na sprawiedliwości, poczuciu ludzkości, równości i wolności.

W mrokach dziejów Polski szlacheckiej palą się jasne gwiazdy wielkich reformatorów i przyjaciół ludu; w ponurej nocy klęsk popowstaniowych świecą postacie Dembowskich, Ściegiennych, wielkich, wolnych duchów rewolucjonistów, prekursorów polskiej demokracji.

Praca Wincentego Banasia przynosi materjał nietylko do rozważań nad dziejami Polski; przynosi wiedzę, światło i otuchę na dziś.

*) **Wincenty Banaś. Z dziejów demokracji w Polsce.** Warszawa, Robotniczy Instytut Oświaty i Kultury im. Stefana Żeromskiego, 1938; str. 166 i 2 nl. Zł. 2.50.

* * *

W związku z przekształceniem się na dwutygodnik „Sygnały“ rozszerzają dział recenzyjny i sprawozdawczy.

Prosimy wydawców i autorów o nadsyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach oraz o podawanie nam ich cen księgarskich. Dla orjentacji czytelników będziemy drukowali przy recenzjach ceny omawianych książek.

Recenzje będziemy zamieszczali jedynie z wydawnictw nadsyłanych pod adresem redakcji „Sygnałów“.

JERZY PUTRAMENT

ZARAZA POETYCKOŚCI

Lata ostatnie przyniosły nam przesunięcie ciężaru zainteresowań krytyków i czytelników z terenu poezji na prozę. Mniej w tem zapewne zasługi prozaików, niż winy poetów, jakby tam jednak nie było, faktem jest, że poezja nie wypełnia dziś repertuaru rozważań i pracy t. zw. młodego pokolenia pisarskiego, nie mówiąc już o starszych generacjach, w takim stopniu, jak to było jeszcze przed kilku laty. Rzecznicy poezji, zwłaszcza „awangardowej" w paru jej odmianach, obsadzili wprawdzie kilka ważnych posterunków prasowych i przy lada okazji usiłują dać znać o sobie, nie są to jednak ani zasadnicze rozprawy programowe ani rzetelne osiągnięcia praktyczne. Obrońcy sprawy awangardowej od dziesięciu lat siedzą w tych samych pozycjach: „Linja" i Przyboś. Cóż to jednak za awangarda, która latami tkwi na tem samem miejscu? Wojna tego typu nazywa się pozycyjną, a wojnie pozycyjnej obce jest pojęcie awangardy. Do pewnego stopnia zastępują ją czaty: awangarda osłania siły główne w marszu naprzód, czaty zaś wysuwa się przed główne linje oporu (w danym wypadku słusznie im się należy nazwa „Przyboś-Stellung"), dla zabezpieczenia ich przed nagłym atakiem. Ale tragedją w danym wypadku jest to, że jeśli poprzednia awangarda prowadziła jednak jakieś tam siły naprzód, to czaty obecne nie osłaniają nikogo, poza niemi jest pusto, pęta się conajwyżej kilku maruderów epigonów. Mimo to niedobitki awangardy jeszcze są najżywotniejsi, poza nimi jest tylko kilku poetów, mniej lub więcej utalentowanych, nie na tyle jednak, by stworzyć jakiś program, jakąś nową ideę poetycką. Polska poezja jest dziś w impasie większym, niż kiedykolwiek od czasów pozytywizmu. Dotknęła ją szczególna epidemja małości (co trafnie podkreślił w swoim czasie Jerzy Zagórski). Mniejsza o przyczyny tej epidemji, ciekawe natomiast, że jak przy innych epidemjach, np. cholery, poszczególni osobnicy usiłują z okolic zarażonych przedostać się do zdrowych, tak i tutaj paru poetów śpiesznie się przerzuca do najbliższych odcinków prozy. W obu wypadkach istnieje to samo niebezpieczeństwo zawleczenia zarazy. Jeśli chodzi o poezję, zdaje się niebezpieczeństwo to stało się już faktem.

W polemice, która się rozpętała dokoła nagrodzonej książki Stanisława Piętaka, „Pion" z odwagą i determinacją broni sympatycznego skądinąd i utalentowanego laureata. Ostatnio w obronie tej posuwa się on aż do zarzutów, że krytyka traktuje tę powieść wyłącznie jako prozę, podczas gdy mają w niej być duże walory poetyckie. Rozumowanie to coprawda nieco przypomina chwalenie dramatu za piękne dekoracje, tem niemniej w zasadzie jest słuszne, istotnie, książka Piętaka posiada wiele poetyckości. Czy jednak ten fakt sam przez się może być zaletą? Tylko w tym wypadku, jeśli towarzyszą mu inne walory ściśle powieściowe. Jakże ta sprawa przedstawia się u Piętaka?

Z repertuaru licznych, skomplikowanych i niełatwych do podporządkowania woli twórczej elementów powieści opanował on zaledwie jeden, elementarny coprawda, ale i drugorzędny zarazem: obraz. Obraz przyrody, czasem obraz psychologiczny i t. p. w „Młodości Jasia Kunefała" nierzadko podbija szczególnym, cokolwiek chorobliwym wdziękiem. Natomiast, jeśli spróbujemy znaleźć w tej książce jakąś postać wyrazistą, jakąś mocną scenę, ciekawy wątek lub choćby plastyczny opis pewnego środowiska, wyniki takich poszukiwań muszą uderzyć swoją nikłością. O wszelkich przeżyciach wiążących się z konstrukcją powieści wogóle niema mowy. Parę chwytów typowo powieściowych, które można znaleźć w książce Piętaka (n. p. zapowiedź przy opowieści o zgonie dziadka), stosuje on z wyraźnym wynikiem ujemnym.

Gdyby Piętak był grafomanem, w takim wyniku analizy formalnej jego powieści nie byłoby nic nadzwyczajnego: trudno od kiepskiego pisarza wymagać dobrej książki. Ale tak nie jest. Piętak jest utalentowany, jest pracowity, po nim się wiele można spodziewać. Skądże więc tak żałosne rezultaty jego pracy powieściowej?

Na to odpowiedział już „Pion". Czem jest ta „poetyckość" w jej dzisiejszem, anno Domini 1938 pojmowaniu? Wyliczając pierwsze z brzegu jej cechy znajdziemy bezprzedmiotowość, lekceważenie elementów strukturalnych, polegające na przeniesieniu podstaw budowy wiersza z tematów słownych, a tem bardziej problemów t. zw. życia realnego na skojarzenia, kult formułki literackiej, a niechęć do bezpośredniego przeżycia i t. p. zjawiska, być może niepełnie oddane powyższemi terminami, niemniej mocno panujące w świadomości pewnych sfer poetyckich. Dodajmy do tego parę zasadniczych cech poezji: operowanie jako podstawową jednostką obrazem w ujęciu statycznem, nieduży zasięg wywoływanych przeżyć, ubóstwo konstrukcji i t. d., a otrzymamy wszystkie charakterystyczne cechy „Młodości Jasia Kunefała". Istotnie jest to książka poetycka, jak na powieść, poetycka aż zanadto, jest to poprostu taki sobie duży wiersz.

Cóż z tego wynika? To przedewszystkiem, że jest to książka bardzo nudna. Powieść jest sztuką wywoływania licznych, liczniejszych niż poezja przeżyć, jest ona nierównie bardziej skomplikowanem i wielopłaszczyznowem dziełem sztuki, daje twórcy możliwości oddziaływania, o których poezja nie może nawet marzyć; Piętak zaś przechodząc do niej od wierszy postępuje, jak kompozytor popularnych piosenek, który zabrawszy się do symfonji opracował partyturę tylko jednej jakiejś tam piszczałki, bo to jak na piosenkę wystarczy.

Utyskiwania te nie miałyby racji bytu, gdyby nie dwie okoliczności. Po pierwsze książka Piętaka jest symptomem zjawisk ogólniejszych. Cechy „Młodości Jasia Kunefała", które należą do indywidualnych właściwości Piętaka (monotonja nastroju i stylu, lubowanie się w histerycznych i ckliwych opisach psychologicznych i t. d.), chociaż czasem są denerwujące, to jednak naogół mogą ujść. Gorzej z tem, co jest właściwe wielu dzisiejszym młodym pisarzom z pogranicza poezji i prozy. Wychowani w specyficznych pojęciach wartości poetyckich, przechodząc do prozy przenoszą oni ze sobą wszystkie nawyki mowy wiązanej, spotęgowane odmiennemi właściwościami rodzajowemi prozy do rozmiarów groźnych ułomności. Jedną z pierwszych jest szczególnie pojęty antyrealizm. Niema w tem zresztą nic z odrzucania przeżytego stylu, z negacji filozoficznej realizmu, coby ostatecznie można było zrozumieć: antyrealizm taki jest poprostu odrzucaniem reguł powieści realistycznej. Tymczasem realizm to nietylko styl, nietylko systemat myślowy, w prozie, a zwłaszcza w powieści, jest on także elementem tak ważnym, jak w poezji n. p. rytm. Oczywiście mogą być wiersze nierytmiczne albo raczej utwory o rytmie bardzo szczególnie pojętym, ale takie odstępstwo musi być czemś umotywowane. Powieść antyrealistyczna musi okupić odrzucenie reguł realizmu najróżnorodniejszemi, ale bardzo dużemi walorami, że wymienię tu choćby Witkiewicza i rozmach jego wizyj metafizycznych, okup zaś niewystarczający grozi najstraszniejszą dla powieściopisarza rzeczą: nudą. Młodzi jednak pisarze naskutek zastarzałej pogardy dla „sztuczek" realistycznych, wyniesionej z poetyckiej przeszłości, odrzucenie tych reguł poczytują sobie za zasługę, jeśli tylko potrafią powetować je sobie dostatecznym ładunkiem poetyckości. A nuda? Ba, lęk przed nią może także jest tylko „sztuczką", albo, co gorzej, realistycznym „mauvais ton"-em. To wcale nie przesada, takie ewolucje myślowe są aż nadto możliwe w środowiskach snobistycznych, a takiem jest warszawski światek poetów.

Powieść Piętaka jest świadectwem jednej rzeczy groźnej: pomniejszania, zubożania możliwości twórczych, możliwości oddziaływania pisarza na społeczeństwo. Poeci, którzy oddawna stracili „rząd dusz", przerzucają teraz zarazę własnej małości na prozę. Niebezpieczeństwo to nie jest wcale mitem, świadczą o tem dalsze losy „Kunefała". Piętak, co jeszcze raz podkreślam, jest pisarzem bardzo utalentowanym, odrębnym i sympatycznym, przy przyznawaniu nagrody młodych wiele względów co do niego przemawia „pro". Ale jest także jedno „contra": „Młodość Jasia Kunefała". Nie znaczy to bynajmniej, bym uważał, że nagroda trafiła do rąk niewłaściwych, znaczy to tylko, że skoro tak się stało, nie powinniśmy przymykać oczu na pewne objawy, które ta książka zawlokła z poezji do prozy, nie powinniśmy tem bardziej symptomów groźnej choroby nazywać walorami.

Chociaż do dobrego tonu wśród poetów nie należy powoływanie się na względy społeczne, to jednak trudno się uchronić przed zwróceniem uwagi na konsekwencje, płynące z ostatniej decyzji P. A. L., spotęgowanej stanowiskiem „Pionu". Książka nagrodzona, to wzór. Wzorem dla młodych powieściopisarzy w roku 1938 jest książka wybitnie nudna. Cóż zawinili ci wszyscy, którzy będą musieli potem czytać to, co powstanie na podstawie takiego wzoru?

Wobec poetów przerzucających się do prozy proponuję stosować środki antyseptyczne i kwarantannę.

ANTONI STARŻA

POETA DYPLOMATĄ

Niedawno w polskiej prasie literackiej bardzo przychylnie oceniono uczynność czechosłowackiego posła w Warszawie Juraja Slávika w zorganizowaniu kulturalnych stosunków polsko-czechosłowackich. Prasa polska różnych kierunków politycznych pochwaliła Slávika za inicjatywę i zrealizowanie „Polskiej Bibljoteki" (w wydawnictwie Leopolda Mazacza w Pradze), składającej się z czeskich przekładów najlepszych utworów naszych współczesnych pisarzy. Dzięki usilnym staraniom i zabiegom Slávika ukazało się już w Pradze 9 tomów naszej beletrystyki[1]) oraz antologja poezji polskiej w przekładzie Jana Karnika-Svitila („Poesie svobodné Polsky").

Dr. Juraj Slávik, chociaż bawi niedługo w Warszawie, po pośle Prokopie Maksie najlepiej z dyplomatów czechosłowackich zrozumiał psychikę społeczeństwa polskiego i przez uczynność pragnie utorować sobie drogę do serc polskich. Oby tylko ogarnęła też inne poza literaturą i sztuką dziedziny życia.

Nic więc dziwnego, że popularność Slávika wzrasta i słuszną będzie rzeczą zainteresować się bliżej postacią tego dyplomaty — szczerego polonofila, który pragnie ożywić kulturalne stosunki polsko-czeskie i polsko-słowackie.

Slávik pochodzi ze starego protestanckiego rodu słowackiego, w którym z wielkim pietyzmem pielęgnowano tradycje reformacyjne. Ojciec jego od r. 1882 aż do r. 1926 proboszcz ewangelicki wyznania augsburskiego w Dobronivej, położył wielkie zasługi dla narodu słowackiego jako budziciel oświatowo-religijny. Z nazwiskiem ks. Jana Slávika jako zasłużonego pisarza narodowego spotykamy się w każdym podręczniku historji literatury słowackiej.

Juraj (Jerzy) Slávik urodził się 28 stycznia 1890 roku w Dobronivej. Szkoły początkowe i średnie ukończył pod kierunkiem madziarskich nauczycieli — w atmosferze niewoli i ucisku narodowego. Podobnie jak i inni rówieśni mu młodzi patrjoci słowaccy, dąży do odbycia studjów zagranicznych i zbliża się do najbardziej słowackiego w swej świadomości narodowej obozu hlasistów, któremu przewodził późniejszy prezydent T. G. Masaryk. Studja uniwersyteckie w Peszcie nie zadowalają żądnego wiedzy studenta. Jedzie więc na uniwersytet do Berlina, potem do Paryża. Studjuje nauki prawne i ekonomiczne.

Już w okresie wczesnej młodości zwraca na siebie uwagę dzięki uzdolnieniom pisarskim. Karjerę literacką rozpoczyna od wierszy elegijnych. Drukuje je pod pseudonimem Neresnickiego w wydawanym w Bratisławie miesięczniku hlasistów „Prudy". Wkrótce wysuwa się na czoło literackiej grupy słowackiej hlasistów i prudowców. Nazwa hlasistów wywodzi się od pierwszych twórców masarykowskiego kierunku w literaturze i polityce. Zgrupowani byli wokół pisma „Hlas", który zaczął wychodzić w Turczańskim Św. Marcinie po pierwszym zjeździe młodych pisarzy i działaczy, stojących na gruncie zasad filozofji Masaryka. Określili oni plan działania słowackiego: „Przeciwko madziarskim broniom kulturalnym — musimy tworzyć własną kulturę; nie wolno nam czekać aż na Węgrzech zapanuje zwrot ku lepszemu, ale już teraz przystąpić do pozytywnej pracy, od której zawisło być albo nie być narodu słowackiego".

Epoka szturowskiego (Ljudewit Sztur) romantyzmu była w Słowacji skończona. W Europie zbierało się na wielką burzę. Czyż wolno było wtenczas patrjotom słowackim trwonić czas daremnie i łudzić się, że czysta poezja może zbawić naród. Dlatego też najdzielniejsi spośród Słowaków, jak Szrobar i Ruman, stworzyli ruch hlasistowski, a do tego ruchu przyłączyli się później obecny minister sprawiedliwości Czechosłowacji dr. Ivan Derer (przewódca umiarkowanych socjalistów słowackich) i Juraj Slávik-Neresnicky (z przekonań ludowiec) oraz wielu z wybitnych późniejszych pisarzy, jak Krasko, Roy, Gall, Jesensky, Klas, Tajovsky, Danielović, Gregorowa. Należy pamiętać, że do współpracowników pisma „Prudy" należał także późniejszy autonomista słowacki i niedawno zmarły utalentowany poeta Marcin Rázus.

Wyróżniający się energją i talentem śród młodych Słowaków Jerzy Slávik, wkrótce wybija się na czoło młodej awangardy słowackiej. Pisać zaczął jeszcze jako młody student. W roku bieżącym mija właśnie dwadzieścia pięć lat jego karjery pisarskiej.

Neresnicky zajmował się nietylko poezją, ogłaszając różne liryki oryginalne i przekłady z poezji francuskiej, ale również krytyką literacką. W 1913 r. zwraca na siebie uwagę zbiorem essayów „Z novšej francuzskej literatury". Świetnie przełożył Flauberta „Madame Bovary".

Wkrótce jednak przechodzi do życia bardziej czynnego. Mając zaledwie 27 lat, po przewrocie w 1918 r. zostaje członkiem rewolucyjnego Zgromadzenia Narodowego w Pradze. Niedługo potem otrzymuje nominację na komisarza rządu dla spraw Słowacji Wschodniej i na tem stanowisku przyczynia się do usunięcia śladów wielowiekowej niewoli i umocnienia słowackości odebranych dzielnic, starając się szczególnie o rozbudowę prasy i szkolnictwa słowackiego. Od r. 1923 jest już żupanem (starostą) w Zwoleniu, w r. 1925 przechodzi na podobne stanowisko do Koszyc, w r. 1926 — mając ledwie 35 lat — otrzymuje tekę ministra reform rolnych w centralnym rządzie czechosłowackim. Pracowitością i uczynnością zdobywa sobie na tem stanowisku sympatję najtwardszych przeciwników politycznych.

Slávik należy do stronnictwa agrarjuszy czechosłowackich. Jest to dziś najpotężniejsza partja polityczna w Czechosłowacji. Jako mąż zaufania tego stronnictwa jest ministrem spraw wewnętrznych w latach 1929—1932. Skolei przechodzi znów do działania w swej partji, rezygnuje jednak z mandatu posła na sejm w r. 1935 i wyrusza do Warszawy jako minister pełnomocny i poseł nadzwyczajny Republiki Czechosłowackiej.

Jest szczerym i serdecznym przyjacielem Polaków.

Był nim zresztą zawsze, od najmłodszych lat. Już przed wojną światową należał do polonofilskiego odłamu młodzieży słowackiej. Nie bacząc na przeszkody i niezmiernie trudne warunki swej misji, ze słowackim temperamentem, ze słowackiem przekonaniem i ewangelicką wyrozumiałością i dobrocią stara się wszędzie i zawsze jednać przyjaciół swej ojczyźnie.

Poznaliśmy w Warszawie posła Slávika, ale nie znaliśmy dotąd poety Neresnickiego, którego wypiastowała dolina Nereśnicka (stąd pseudonim), jakże malownicza i zdobna we wspaniałe ruiny Pustego Hradu... Strony rodzinne ministra Slávika pełne są pamiątek historycznych i wspomnień z czasów reformacji. W południowo-zachodniej części Słowacji, w pobliskim Zwolenia Ludwik węgierski wydał córkę Jadwigę za Władysława Jagiełłę. Tutaj też rezydował wódz husycki Jiskra z Brandysa, tutaj toczyły się zawzięte boje z Turkami i tutaj rozegrała się tragedja powstań reformacyjnych i przeciwreformacyjnych. W Zwoleniu wreszcie wybrano Ljudewita Sztura, twórcę odrodzenia narodowego Słowaków, posłem na sejm węgierski. Było to w pamiętnym roku 1848, kiedy Słowacy obudzili się do wolności i marzyli o przyjaźni z Polakami...

Nic dziwnego, że w takich tradycjach wychowany Jerzy Slávik-Neresnicky pragnie trwałej zgody między Polską i Czechosłowacją.

[1]) Berent „Żywe kamienie", Choynowski „W młodych oczach", Dąbrowska „Ludzie stamtąd", Iwaszkiewicz „Panny z Wilka", Kaden-Bandrowski „Miasto mojej matki", Kuncewiczowa „Cudzoziemka", Nałkowska „Granica", Nowakowski „Przylądek Dobrej Nadziei", Parandowski „Dysk olimpijski".

* * *

W poprzednim (40) numerze „Sygnałów" z dnia 1 marca: **Franciszek Siedlecki:** List — **Marja Kuncewiczowa:** Dalszy ciąg rozmowy — **Izabella Pawluciówna:** Brat. Człowiek — **Jan Karol Wende:** Droga poezji polskiej — **Tadeusz Banaś:** Lwowski poeta — **Marja Bruzda:** Ziemia w jarzmie — **Michał Szulkin:** Siła i słabość powstania 1863 r. — **Marjan Promiński:** Nowości literackie — **Władysław Jaworski:** Wśród poetów — **Marjan Czuchnowski:** Ksawera — **Zuzanna Ginczanka:** Świętokradztwo. Trofea — **Władysław Jaworski i Zbigniew Bieńkowski:** Nowe poezje — **Wanda Kragen:** Powieść o wojnie — **Jerzy Kamil Weintraub:** Fraszki — W oczach Zachodu — **K. K.:** Przegląd prasy — **Jakób Bickels:** Usuwanie ostatniego zęba mądrości (rys.) — Korespondencja **(Adolf Dicker)** — 8 stron. 3 ilustracje.

NOWOŚCI LITERACKIE

Jurij Tynianow. Puszkin. Z upoważnienia autora przełożył **dr. J. P. Zajączkowski.** Warszawa, „Rój“ (1937); str. 341 i 11 nl. Zł. 8.—.

Pierwszy tom powieści Tynianowa o Puszkinie jest jedną z ciekawszych powieści biograficznych, jakie się w przekładach polskich z literatur europejskich ukazały. Jest to rzeczywiście powieść — to znaczy epicka narracja, rozwijająca się stopniowo i harmonijnie na wzór klasycznej powieści, wciągająca czytelnika w nurt akcji i wydarzeń. Toteż niewiele ma ona wspólnego z tym gatunkiem romansu psychologiczno-biograficznego, jaki uprawia n. p. Maurois. Utwór Tynianowa należy poprostu określić jako powieść historyczną, i trzeba przypuszczać, że Tynianow jako powieściopisarz kształcił się przedewszystkiem na arcydziełach dawnej literatury rosyjskiej, na powieściach samego Puszkina, aczkolwiek musimy stwierdzić, że jego zwięzły styl cechuje nowoczesna reportażowość, a stosunek jego do historji — zrozumiały rewizjonizm.

Tom pierwszy opowiada o dzieciństwie, pacholęctwie i wczesnej młodości poety — do chwili ukończenia przezeń liceum w Carskiem Siole: akcja zamyka się słynnym egzaminem, uświetnionym obecnością zgrzybiałego Dierżawina, przed którym szesnastoletni poeta deklamował swój wiersz, stanowiący niby pierwszy tryumfalny krok na skałę Kalliopy. Jeśli chodzi o psychologiczny wizerunek Puszkina, zwraca uwagę nacisk, jaki Tynianow kładzie na jego pochodzenie i jego mieszaną rasę, jakby rozwijając tezę, że bastaryzacja jest ważnym czynnikiem przy powstawaniu genjuszu. Osobowość Puszkina, pokrzyżowana rasowo, ulega w dzieciństwie silnym wpływom obojga rodziców i środowiska, które potęguje w poecie wszystkie jego wrodzone zalety i wady charakteru; obciążony niejako dziedzicznie i z indywidualnością już w pacholęctwie ukształconą, poddany zostaje nowym wpływom wychowawczym w liceum. Ale te wpływy niewiele już mogą oddziałać na odporny i żywiołowy charakter poety, którego umysł i wyobraźnia przerastają wysoko poziom otoczenia licealnego.

Młodzieńcze lata Puszkina śledzimy na szerokiem tle historycznem. Wypadki historyczne i podkład kulturalno-obyczajowy epoki przedstawia Tynianow z przenikliwością i wiedzą zamiłowanego historyka. W kilku rysach uplastycznia postać Pawła I, którego krótkie panowanie miało się ku schyłkowi, gdy Puszkin przyszedł na świat. Natomiast Aleksander I analizowany jest subtelnie i objektywnie, aczkolwiek wychodzi z tej analizy odbronzowany. Niemniej wierne i staranne daje Tynianow portrety Sperańskiego, Razumowskiego, Arakczejewa, Karamzina i innych czołowych ludzi epoki, zapomocą drobiazgu nieraz psychologicznego (n. p. kanapa Dierżawina) uwypuklając daną postać lepiej, niżby to uczynił długim opisem. Pod tym względem nasuwają się niekiedy analogje z Aleksym Tołstojem i Aldanowym. Postacie Tynianowa żyją w znakomicie uchwyconej atmosferze politycznej Petersburga, którą przeszywają tak przeciwne sobie powiewy, jak mongolizm Arakczejewa, liberalizm wielu młodych Rosjan (Kunicyn, profesor liceum) wychowanych zagranicą, mistycyzm i saint-martynizm oraz jezuityzm, który szerzą śród arystokracji rosyjskiej ojcowie Societatis Jezu, mający w Petersburgu swe kolegjum. Niepewna i ciężka atmosfera wyda w bliskiej przyszłości dekabrystów. Tymczasem Rosję z okresu licealnego Puszkina niepokoi doniosła sprawa narodowa: walka z Napoleonem o hegemonję w Europie. Wybucha wojna r. 1812. Nie oglądamy jej w powieści; słyszymy tylko jej odgłosy, dochodzące do Petersburga, i widzimy ruinę majątkową rodziny Puszkinów, których wojna wypędziła z Moskwy.

Oto klimat duchowy i wypadki, w jakich dojrzewa przyszły poeta narodowy Rosji. Tynianow nie pominął najmniejszego, zda się, szczegółu, który w ten czy inny sposób mógł zaważyć na psychice młodzieńczego poety. Szczegóły te wiążą się w całość, której artystyczna konstrukcja sprawia, że powieść czytamy z tem uczuciem satysfakcji, jakie nas ożywia zawsze, gdy obcujemy z przeszłością, prawdziwie odtworzoną.

Tadeusz Żeleński (Boy). Marysieńka Sobieska. Lwów — Warszawa, „Książnica-Atlas“ (1938); str. 363 i 5 nl. i 7 ilustracyj. Zł. 10.—.

Możnaby na palcach wyliczyć oryginalne próby powieści biograficznej we współczesnej literaturze polskiej. Słowacki Wołoszynowskiego, „Król życia“ Parandowskiego, ostatnio „Moniuszko“ Władysława Fabry i „Beniowski“ Lepeckiego — to bodaj wszystko. W tym szeregu poczesne miejsce zajmie „Marysieńka Sobieska“ z tą poprawką, że nie jest to powieść biograficzna, lecz raczej biografja powieściowa — typowa **vie romancée.** Znamy dobrze metody pisarskie Boya, jego postawę „odbronzowniczą“ wobec naszej rzeczywistości historycznej i literackiej, jego pasję „obrachunków“. Te właściwości Boya znajdą niewątpliwie kiedyś swego psychoanalitycznego badacza, bardziej objektywnego niż Irzykowski, i kto wie, czy pasji Boya nie da się wytłumaczyć jakimś niedosytem erotycznym z czasów jego młodości. W „Marysience“ pasja obrachunków na gruncie erotyki święci tryumfy: Marysienka z jej **mouche,** z jej **brunette,** z jej **pièces tremblantes** i Sobieski ze swoim wciąż czujnym „szyldwachem“ — to temat stworzony dla Boya, nic więc dziwnego, że „olbrzymią pozycję phalliczną“ króla Jana opracowuje i komentuje Boy z żarliwością. To jedna strona jego romansu, nie każdemu, być może, czytelnikowi przypadająca do smaku. Zastanawiając się nad nią, można w pewnym stopniu usprawiedliwić oburzenie owego publicysty politycznego, który po przeczytaniu „Marysienki“ napisał: „Boy w sposób obrzydliwy spłycił wielkiego męża stanu i genjusza wojny“.

Ale jest i druga strona. Czy rzeczywiście spłycił? Czy najbardziej intymne szczegóły z życia Napoleona naprzykład, najbardziej wyuzdane orgje Piotra Wielkiego pomniejszają tych dwóch genjalnych ludzi? Więc druga strona romansu Boya polega na tem, że ukazał nam Sobieskiego w towarzystwie Marysienki takim, jakim był w istocie: nieodrodnym synem swej epoki, doskonałym przedstawicielem środowiska sarmackiego — bynajmniej nie wielkim mężem stanu, za jakiego uchodził, lecz z całą pewnością wielkim wojownikiem. To nie wszystko. Ten szlachcic i wojownik jest jednym z najczulszych kochanków, jakich znają nasze dzieje, kochankiem, którego miłość ma o tyle znaczenie historyczne, że jej głód, jej żarłoczny „appetyt“ sublimował się w czyny polityczne, w wiekopomne zwycięstwa: bo gdy Marysienka przebywa w Paryżu albo gdy jej **caresses** nie zadowalają Celadona, wówczas „cale wszystką myśl i miłość **à la gloire** obróci“ — i trudno nie przyznać psychologicznej racji Boyowi, gdy zauważa, że „niedosytom miłości i karesów zawdzięczamy może — Chocim“. Niezaprzeczalną bowiem zdobyczą Boya jest fakt, że odkrył w Sobieskim **artystę,** „z jego depresjami, z jego okresową nieświadomością samego siebie i swoich przeznaczeń“. Ten fakt potwierdza analiza listów Sobieskiego, listów, z których późniejsi cenzorzy obyczajowi i bronzownicy uczynili niemal palimpsesty, do tego stopnia wybielili je i po swojemu przeredagowali. W świetle tych listów **prawdziwych,** odczytanych nanowo przez Boya, Sobieski jawi się nam jako wspaniały pisarz, jako jeden z najbardziej niezwykłych ludzi swej epoki.

W toku opowieści zastrzega się Boy niejednokrotnie, że nie pisze monografji Sobieskiego, a tem bardziej historji jego czasów; pisze tylko życiorys romansowy Marysienki. Stało się jednak tak, że postać króla — naprzekór intencjom autora — przysłania wciąż swoją Astreę. Jest to naturalne. Mimo sympatje Boya i jego względność, wypływającą ze zrozumienia duszy ludzkiej, mimo jego łagodność w sądach — „Marysienka pozostała mała“, aczkolwiek — jak chce autor — „wielkość kobiety inne ma kryterja“. W czem więc zamyka się „wielkość“ Marysienki? W tem, że „umiała przykuć do siebie wspaniałego człowieka... panować nad nim... podsadzić go na tron... i to wszystko będąc prawie bezustanku w ciąży, rodząc kilkanaścioro dzieci żywych i umarłych“. Czyż to nie jest swego rodzaju wielkość? — zapytuje Boy z właściwą sobie finezją. Zgódźmy się z nim w imię pracy, jaką włożył w swój doskonały romans; w imię dowcipu i delikatnej ironji, jakich nam nie szczędzi; w imię zbliżenia do nas dość pogmatwanej przez historyków epoki, jakiego z niemałym trudem i mistrzostwem dokonał. I jeśli jakiekolwiek powstałyby w nas zwątpienia co do „wielkości“ Marysienki, pośpieszmy stłumić je tą pewnością, że wielkość króla Jana pozostała nietknięta, choć mieni się rozmaicie w blaskach tych „reflektorów“, któremi Boy umie nieomylnie naświetlać podejmowane przez siebie tematy.

W jednym z najbliższych numerów ogłoszenie wyniku konkursu poetyckiego

Tadeusz Katelbach. Za litewskim murem. Warszawa, „Rój“, 1938; str. 379 i 5 nl. Zł. 7.—.

Tadeusz Katelbach był, jak wiadomo, pierwszym publicystą polskim, który jako korespondent „Gazety Polskiej“, przebywał cztery prawie lata (od r. 1934 do 1937) w Kownie, nadesławszy stamtąd w ciągu tego czasu do swego pisma sto kilkadziesiąt artykułów. Po powrocie do Warszawy z końcem roku ubiegłego, wydał swe korespondencje w książce, porządkując je w ten sposób, że zgrupował je w działy według zagadnień i spraw, które poruszają. Książka rozpadła się na osiem części, poświęconych następującym problemom: część pierwsza p. t. „Załamanie czy ewolucja reżimu“ traktuje o wewnętrznych stosunkach politycznych w Litwie od czasów Woldemarasa do utrwalenia się dzisiejszego ustroju, który autor określa jako dożywotni duumwirat prezydenta Smetony i jego szwagra premjera Tubelisa, jako „twarde rządy autorytatywne“; część druga p. t. „Litwini gospodarze“ interesuje szczególnie ze względu na charakterystykę gospodarki litewskiej, jej odrębności i jej ruchu spółdzielczego, który odgrywa niezmiernie ważną rolę w rozwoju ekonomiki krajowej; części trzecia i czwarta p. t. „Litwa a Polska“ i „Wśród litewskich szykan“ omawiają stosunki litewsko-polskie; części piąta i szósta — „Niemieckie chmury nad Litwą“ i „Kłajpedzki orzech“ — obejmują zagadnienia litewsko-niemieckie; część siódma „W małej rodzinie bałtyckiej“ usiłuje dać obraz polityczny państw bałtyckich (Estonja, Łotwa i Litwa) oraz wyjaśnia rozdźwięki, jakie pomiędzy niemi istnieją; część ósma — „Głęboka przyjaźń“ (w cudzysłowie autora) zastanawia się nad złudami porozumienia litewsko-sowieckiego. Następuje wreszcie rozdział p. t. „Zamknięcie“ — próba syntezy zagadnienia litewskiego. Autor — przyjaźnie do Litwy usposobiony (o czem musimy pamiętać) — poddaje tutaj krytyce litewską politykę zagraniczną, która „przekształca małe państwo w niebezpieczne ognisko niepokoju“ i powoduje jego polityczne „osamotnienie“ w Europie północno-wschodniej, gdyż oprócz ZSSR Litwa nie ma przyjaciół, a przyjaźń z Rosją jest niebezpieczna: „Litwa sam na sam z Moskwą, to zatracenie resztek samodzielności, to zwekslowanie na jednostronny tor, z którego w pewnej chwili w żaden sposób nie będzie się można wydostać“. Wina „osamotnienia“ Litwy — dowodzi Katelbach — spada całkowicie na Litwinów, na ich „buńczuczny, megalomański imperjalizm“, którego istotę stanowi najpospolitszy „kompleks niższości“ — lęk przed tem, aby normalny, sąsiedzki proces polsko-litewskiego współżycia nie zagroził „słabej roślince“ kultury litewskiej. Mimo to Katelbach przewiduje, że sczasem dojdzie do normalizacji stosunków polsko-litewskich. Nastąpi to, gdy czynnikiem decydującym w polityce litewskiej stanie się młode pokolenie, dla którego Polska — przed paru laty jeszcze kraj wyłącznie wrogi — nabiera coraz bardziej, jeśli się tak można wyrazić, uroku rzeczy nieznanej, egzotycznej niemal, a przecie niewątpliwie tak blisko istniejącej, zaledwie po tamtej stronie „muru“. Z żądzy poznania narodzi się prawda porozumienia — taka byłaby myśl Katelbacha — psychologicznie rzecz biorąc, trafna i realna.

W krótkiem sprawozdaniu niepodobna wyczerpać obszernego tematu, jakim jest książka Katelbacha. Już przegląd tytułów poszczególnych części świadczy, że zainteresowania autora są wszechstronne; dodajmy, że są także rzeczowe i życzliwe. Pomińmy w tej chwili to, co w życiu Litwy jest smutne, szowinistyczne i megalomańskie. Zwróćmy uwagę na pewne zjawisko dodatnie, dla którego należy mieć wysokie uznanie: jest niem wspaniały rozwój spółdzielczości. Jak wyjaśniał autorowi ks. Tumas, jeden z nestorów narodowo-państwowego odrodzenia Litwy, celem wszystkich ekonomistów litewskich — bez różnicy przekonań społeczno-politycznych (podziwu godna solidarność!) — było przeszczepienie na grunt litewski wzorów z Danji, do której mała, ale rolnicza, wieśniacza, gospodarcza Litwa jest zbliżona w swej strukturze społeczno-gospodarczej. Rezultaty naśladowania Danji są pomyślne i owocne. Dwie wielkie organizacje spółdzielcze — „Maistas“ i „Pienocentras“ uregulowały całą ekonomikę kraju: „Maistas“ objęła hodowlę oraz eksport bekonów i produktów mięsnych; „Pienocentras“ odgrywa analogiczną rolę w produkcji i wywozie nabiału. Obydwie, jak na stosunki litewskie, są potęgami. Trzecią, doniosłą organizacją gospodarczą jest „Lietukis“, skupiający handel zbożem, nasionami, maszynami rolniczemi oraz import do Litwy soli, nafty i węgla. Te organizacje spółdzielcze kontrolowane są zresztą przez państwo, które angażuje w nich swe kapitały.

Książka Katelbacha jest — rzec można — rodzajem encyklopedji o współczesnej Litwie, która dla nas staje się również coraz bardziej krajem nieznanym i egzotycznym. Lektura Katelbacha wyjaśnia wiele napozór nonsensów i paradoksów polsko-litewskich. Cele, które sobie wytknął autor — a więc „informacyjno-orjentacyjne“, zostały przezeń w pełni osiągnięte.

Jerzy Wyszomirski

NA PEWNEGO ARCHITEKTA

Masz niestety opinję estety.
To pomyłka, o dziecię najszczersze.
Napisz lepiej przepiękne szalety,
miast budować takie podłe wiersze.

J. K. Weintraub

Podróże do piekieł

Bolesław Miciński. Podróże do piekeł. Warszawa, „Prosto z Mostu“, 1937; str. 137 i 1 nl. Zł. 4.—.

Ta niewielka książka młodego pisarza posiada już pewien rozgłos. Została przedstawiona do nagrody P. A. L. i nagrody „Wiadomości Literackich“. W pełni zasługuje na wyróżnienie z powodzi „aktualnych“ wydawnictw.

Jest to wybór essay‘ów, scementowanych w niewątpliwą, rzetelną całość. Mógłby nosić najbardziej ogólnikowy, jaki wymyślić można, podtytuł: „O naturze ludzkiej“. Jakkolwiekby się nie ustosunkować do rozważań i postawy Micińskiego, nie sposób zaprzeczyć, że jest on uczciwym i niepłytkim humanistą. Chce prawdziwie poznać sprawy duszy ludzkiej i stoi daleko od zwykłych przesądów klasowych czy środowiskowych.

Chociaż autor „Podróży do piekieł“ nie mówi nigdzie o sobie, ani nawet bezpośrednio od siebie, książka jego nosi wyraźnie i do głębi osobisty charakter. Cechuje Micińskiego wybitny egocentryzm poznawczy: patrząc w siebie, sądzi, że poznaje naturę człowieka wogóle. Jednostronność tej sokratycznej postawy („gnothi seauton“) należy uznać za anachronizm, ale jej rzetelność musi budzić szacunek.

Mistrzem Micińskiego jest Kartezjusz. I „Podróże do piekieł“ stanowią jeden z piękniejszych — w europejskiej skali zapewne — dokumentów żywotności kartezjańskiego genjuszu. W trzystolecie śmierci wielkiego Francuza Miciński zdobywa się na niebanalne ujęcie jego puścizny, na osobistą interpretację fundamentów kartezjanizmu. Dotyczy to zwłaszcza stosunku Micińskiego do roli t. zw. etyki tymczasowej (z „Rozprawy o metodzie“) w całości systemu autora „Meditationes de prima philosophia“. Rozważania na ten temat stanowią końcowy akord „Podróży do piekieł“. Miciński pragnie zawarować sobie minimum etyczne, żąda samodyscypliny. Przyznaje bardzo szerokie prawa wątpieniu, ale, jak ostatniej deski ratunku, chwyta się pewnych najprostszych reguł postępowania. Komentując Kartezjusza, prawdom względnym, umownym, nadaje wartość bezwzględną, jeśli mają być stosowane w życiu. Decyduje więc kryterjum praktyki, najpewniej, jak zawsze, stawiające czoło sceptycznej zawierusze.

Z konieczności jednak wskazania Micińskiego mają charakter formalny raczej. Cóż to bowiem znaczy: „prowadzić się wedle mniemań najbardziej umiarkowanych i najbardziej oddalonych od wszelkiego wybryku, oraz powszechnie przyjętych w praktyce przez najroztropniejszych między tymi, z którymi żyć wypadnie...“ (Descartes)? Jasne, że pod te słowa można podłożyć najróżniejszą treść praktyczną. W dzisiejszej epoce gwałtownych przemian i wstrząsów nie usuwają one przytem wcale możliwości wewnętrznych konfliktów, ani konieczności rewizji naszego stosunku do tych, „z którymi żyć wypadło“. Mamy dziś inne, niż za czasów Kartezjusza kręgi społeczne, inną ich hierarchję, inny stopień stabilizacji. Pojęcie „najumiarkowańszej prawdy“ jest dla nas „absolutnie“... puste. Można ten „bezwzgląd“*) Micińskiego przyrównać do fantastycznych ram, w które da się wstawić każdy obraz. Za dużo abstrakcji, jak na regulator praktycznej działalności...

Przypadek, oczywiście, zrządził, że książka ta ukazała się nakładem „Prosto z Mostu“. Zagadnienia, które zajmują zwykle łamy tego „narodowo-radykalnego“ czasopisma, nie znajdują w „Podróżach do piekieł“ żadnego odzwierciedlenia. Wprost przeciwnie: głęboko wszechludzka nuta, która dźwięczy z kart książki Micińskiego, zdaje się przeczyć generalnej linji „narodowego“ tygodnika. Nietrudno w tem dostrzec znamię słabości naszego nacjonalizmu: nie jest on doktryną i chętnie garnie pod swe skrzydła wszystkich intelektualistów, którzy nie zajmują względem niego zdecydowanie negatywnej postawy.

Konstrukcja książki Micińskiego jest oryginalna i bez zarzutu. Kapitalny gąszcz problematyki spraw ludzkich został spięty jednością myśli przewodniej, jak srebrną klamrą. „Podróże do piekieł“ są napisane doskonałą, klarowną prozą. Widać w nich świadomą staranność artysty, cyzelatora zdań i słów. Krótki przykład:

„W dniu Sądu Ostatecznego ręka Boża skruszy wiotki szkielet substancji. Wrażenia zmysłowe pozbawione trwałego substratu, spłyną strumieniem psychicznym, jak połyskująca ławica ryb, jak chmura motyli nad łąką, a świat zerwany z kotwicy, która wbiła drapieżne szpony w mocne, skaliste dno rzeczywistości, zakręci się na mętnych nurtach iluzji“.

Jest w tem i siła sugestji i piękno zuchwałej, dalekosiężnej metafory i potoczystość łacińskiego okresu. To nie przeszkadza nam stwierdzić, że sposób, w jaki Miciński usiłuje pogodzić swą koncepcję „końca świata“ z wizjami Apokalipsy, przypomina niezbyt poważne, werbalne sztuki sir James‘a Jeans‘a.

Zygmunt Jarosz

*) Termin Cieszkowskiego.

MARJA BRUZDA

PRZYPOMINAMY GOSZCZYŃSKIEGO

Jaki był skład socjalny owej nielicznej grupki „młodzieży wojskowej i cywilnej", owej pamiętnej osiemnastki, która w historyczną noc listopadową ruszyła na Belweder, dając sygnał wybuchu powstania? Czy przeważał typ Felusia Czartkowskiego, panicza, którego chleb rozpierał i który, zadraśnięty w swej dumie brakiem możliwości awansu, z sercem pełnem wzgardy dla ciemnych chamów porwał się buńczucznie na krok nieprzemyślany, raczej dla obrony wąskich interesów kastowych, niż dla dobra ogółu?

Trudno dziś określić procentowo z całą dokładnością wzajemny stosunek dwóch elementów w powstaniu, arystokratycznego i demokratycznego. Że jednak ten element dołowy, zradykalizowany, uciśniony ekonomicznie, a więc najcenniejszy dla wszelkich ruchów masowych był również reprezentowany, dowodzi chociażby udział w wypadkach nocy listopadowej Seweryna Goszczyńskiego.

Syn uczestnika walk wolnościowych z lat dziewięćdziesiątych, ubogiego szlachcica, zmuszonego do pracy u obcych w charakterze ekonoma czy gorzelanego, przerzucanego z miejsca na miejsce i często bezrobotnego, ileż musiał się Seweryn już w dzieciństwie napatrzeć i nacierpieć pańskiego bezprawia i okrutnej swawoli, ileż musiał się nasłuchać od ludu ukraińskiego ponurych historyj o doli na pańskiem, że z jego książek poczucie krzywdy wybucha tak bezpośrednio, jak to się nigdy nie zdarza u postronnego obserwatora-moralizatora. Jaką goryczą musiał nasiąknąć w latach młodzieńczych, spędzonych w nędzy, pracy w podziemnych organizacjach, wolnościowych, na ukrywaniu się przed policją, że najdroższa stała się dla niego swoboda, najbardziej znienawidzona — tyranja. „Za wolność naszą i waszą" gotów był walczyć na każdem miejscu, gdzie ta walka się toczyła — w latach młodzieńczych postanowił udać się do Grecji, aby brać udział w tamtejszych walkach o niepodległość.

Przebiegając myślą literaturę naszą „od Wiesława do Boryny" w poszukiwaniu rzetelnego ujęcia sprawy ludowej, natrafiamy na Goszczyńskiego, jako na zjawisko wyjątkowe. Bo chociaż romantyzm, jako jeden z zasadniczych punktów wpisał do swego programu „ludowość", to jednak była to ludowość raczej dekoracyjna, spowodowana pogonią za nową tematyką, zużytkowującą podania i wierzenia ludowe jako ramy dla wypowiadania własnych praw etycznych, poszukująca ludu prymitywnej uczuciowości, prymitywnej wiary i prymitywnego bytu; romantyzm widział w masach ludowych, co pragnął w nich zobaczyć, najmniej troszcząc się, czem lud był naprawdę. Były to czasy filozofji, wkładanej w usta litewskich obrzędników, czasy, gdy najambitniejszy z ambitnych Słowacki nieświadomie i w dobrej wierze przyjął balladę napisaną przez Odyńca za szczery motyw ludowy i oparł na niej swą „Balladynę".

Inne były założenia, które postawił sobie Goszczyński. Chociaż niezupełnie wyzwolony spod wpływu „czarnej fantazji Byrona", która nakazywała mu płaszczem tajemniczego bohaterstwa okryć barki kozackiego watażki, traktował swoje zamierzenia literackie z całą powagą i uczciwą samodzielnością, o której najlepiej świadczą jego własne słowa w ocenie twórczości najbliższego przyjaciela osobistego i literackiego — Zalewskiego, że jego bohaterowie „są zbyt wymuskani, za salonowi, za zniewieścieli na kozaków, nie są takimi, jakich ich znamy w krwawych dziejach Zaporoża. **Podobna wada** nie jest do przebaczenia, **jest grzechem przeciwko najgłówniejszemu warunkowi poetyckiego talentu, przeciwko prawdzie**". A w przedmowie do „Króla zamczyska" pisze, że poezji „nie trzeba daleko szukać, nie potrzeba jej uganiać poza obrębem dzisiejszej ludzkości, nie potrzeba jej sobie wymyślać, jest ona między nami, w sferze naszego życia, naszych ludzi, w postaciach najpowszedniejszych".

Ten czołowy romantyk opiera się na założeniu ściśle realistycznem i ten to właśnie realizm społeczny, być może, sprawia, że w 110-letnią rocznicę wydania „Zamku kaniowskiego" brzmią niestety, wciąż jeszcze wstrząsająco aktualne jego opisy doli chłopskiej:

„O głodzie, chłodzie pracując w niewoli
Krwią się rozpływać nad nieswoim snopem,
A potem płakać pod skopconym daszkiem
Rano i wieczór, że twe białe ciało,
Od mrozu, skwaru, do krwi popadało",

I dalej:

„Komu rózgami ojciec zasieczony,
Czyja się panu spodobała żona,
Komu najmilsza córka pogwałcona,
Kto za to w pańskiem umierał więzieniu,
Że jak pies podły o głodzie i zimnie
Dla jego usług przemarnował lata...".

jego opisy typów pokroju starosty, co „poi gromady, rozstrzeliwa baby", podłych zasadzek i szantażu, za których pomocą rządca zwabia do swej łożnicy kozacką dziewczynę, całego tego piekła zależności ekonomicznej z jednej i bezkarności z drugiej strony.

O tem, że Goszczyński jako arenę swego poematu wybrał Ukrainę, zadecydowały nietylko wspomnienia dzieciństwa, ale i siła atrakcyjna, jaką posiadała dla poety bujna przeszłość historyczna i harde zamiłowanie do swobody ukraińskiego ludu. W związku z tem występujące i tak ostro konflikty socjalne pogłębiają się w poemacie przez skrzyżowanie z odrębnościami narodowemi, wskutek starcia żywiołu szlachecko-polskiego z ukraińsko-ludowym i dlatego w ustach kozaków słowo „Lach" staje się synonimem ucisku. Na to, że Goszczyński tematem swego utworu uczynił jedno z najsmutniejszych wydarzeń przeszłości — rzeź hajdamacką, wpłynęło zapewne nietylko „zamiłowanie do okropności", ale i chęć doprowadzenia myśli przewodniej do punktu szczytowego, gdyż Goszczyński, gorący patrjota, cierpi na przepaścią, jaką wywołuje pomiędzy Polską a jej ludem krzywda socjalna, i ostrzega rodaków:

„(Wy) sami pojrzeć na przyszłość nie [chcecie,
Na ucztę długo tłumionej swobody,
Wasi dziadowie widzieli te gody,
Dwory och były smutnymi świadkami,
Ach, **zapomnianej zbyt prędko igraszki**".

Porównajmy w „Weselu": „Mego dziada piłą żnęli — myśmy wszystko zapomnieli". Nie wspaniałomyślnego gestu, jednostronnego przebaczenia, ale czunej pamięci, która każe wyciągać konkretne wnioski, żąda Goszczyński od rodaków, aby nie powtórzył się „znów ten sam pokój — i zbrodnie te same".

„Zamek kaniowski" wywołał u współczesnych burzę entuzjamu i oburzenia, tworząc ciekawą linję demarkacyjną wpoprzek społeczeństwa. Pierwsza zareagowała oczywiście cenzura, stępiła społeczne ostrze utworu, wykropkowując w pierwszem wydaniu **wszystkie** przytoczone ustępy. Wśród zarzutów krytyki reakcyjnej nie zabrakło prawdopodobnie oskarżeń o stronniczość i brak patrjotyzmu, gdyż Goszczyński, w napisanym później artykule-komentarzu do „Zamku" przeprowadza „dowód prawdy" i wyjaśnia w sposób socjologicznie ścisły, źródła charakteru narodowego kozaków i przyczyny konfliktów, mówiąc o „nieludzkości panów i nietolerancji księży", które włożyły broń w ręce kozactwa. Gorącego obrońcę znalazł Goszczyński w Mochnackim, który chwali go za realistyczne ujęcie i umiejętność „ogarnięcia mas wielkich" i na marginesie „Zamku" stawia zasadniczo kwestję: „Czy może być prosty (niewystylizowany, nieprzebrany, przyp. M. Br.) kozak bohaterem poematu?". I odpowiada z całą furją swego temperamentu: „Tak, może być. Nietylko kozak, ale i żebrak. Za nic nie wyganiajmy czerni z naszej literatury". Wypowiedzenie tej prawdy, która dziś już dla nas wydaje się truizmem, wymagała w owych czasach nielada rewolucyjnej odwagi.

Nastąpiło powstanie, którego walki przetrwał Goszczyński aż do ostatniego momentu, należąc zawsze do lewego skrzydła, występującego przeciw niedołęstwu kierownictwa, a po złożeniu broni nie poszedł po linji najmniejszego oporu — na emigrację, lecz przedostał się do Galicji, aby tam, pracując konspiracyjnie, przygotowywać moment następnego wybuchu. Że i tam traktowany był zawsze jako „czerwone niebezpieczeństwo", dowodzi konflikt z Aleksandrem Fredrą, który jako członek lwowskiego komitetu szlacheckiego, proszony o subsydjum dla zamierzonego przez Goszczyńskiego pisma, uzależnił pomoc finansową od charakteru wydawnictwa, aby nie znalazły się w niem utwory zbyt radykalne. Goszczyński na cenzurę się nie zgodził i plan nie został zrealizowany.

Jednocześnie Goszczyński rzucił się z zapałem w nową, odkrytą przez siebie dla literatury polskiej dziedzinę, studja nad życiem górali tatrzańskich, tego plemienia, co nie chciało ugiąć karku twardego przed panem i wydało ze siebie sławnych zbójników, którzy — jak głosi legenda — bogatym zabierali i biednym dawali. Chociaż nie udało mu się głęboko dotrzeć do źródeł ich bytu, pierwiastek mityczno-obrzędowy zatarł mu w dużej mierze wizerunek objektywnej prawdy, to jednak epicznym patosem bije z jego pieśni o „Sobótce" piękno i tężyzna współżycia wolnego człowieka ze wspaniałą przyrodą — strumień, niewyczerpany przez polską poezję ludową.

W roku 1838 wyjeżdża do Francji i tu rozwija bogatą działalność publicystyczną, pisując, jako działacz Towarzystwa Demokratycznego, do „Demokraty Polskiego" i polityczno-satyrycznego pisma „Pszonka". Prawdopodobnie w tym okresie powstał jego mało znany, ale jakże bardzo charakterystyczny wiersz „Piotr Pszonka Jasieńczyk" — o hardych panach, którzy zabawiając się polowaniem na chłopskiem polu, zniszczyli cały plon i zostali ukarani za to przykładnie przez Kazimierza Wielkiego zapłatą grzywny i symbolicznem hańbiącem wysmaganiem biczem przez chłopów. Obrażony pan, kipiąc wściekłością, sprzymierzył się zdradziecko z Litwinami i sprowadził ich przez rzeczną granicę, naznaczając miejsce brodu żerdziami. Jednak rybacy, którzy przejrzeli jego niecny zamiar, wyciągnęli w porę żerdzie, ratując w ten sposób kraj od najazdu. Goszczyński w przypisku do wiersza wyjaśnia, że jako autentyczny fakt znał z historji tylko sprawę zdradzieckiego przymierza pana Pszonki z Litwinami. Widać więc, w jakim kierunku pracowała fantazja poety, który „dośpiewał sobie" jej tło społeczne. Zresztą sam wybór tematu określa również autora: epoka „króla chłopków", przeciwstawienie nędznej prywaty panów, gotowych dla zadośćuczynienia swej nieokiełzanej pysze zgubić kraj, patrjotyzmowi bezimiennych chłopów.

Na emigracji powstaje druki wielki utwór Goszczyńskiego „Król zamczyska", próba syntezy poglądów autora na przeszłość i przyszłość Polski. Mimo fanatycznego przywiązania do tradycji, jakie przebija z tego dzieła, wykazuje ono równocześnie głęboko krytyczny stosunek autora do szlacheckiej przeszłości i teraźniejszości, gdy autor całą tragiczną, królewską mądrość dziejów wkłada w usta błazna Stańczyka. Znajdujemy piękną, ustami błazna wypowiedzianą perspektywę:

„Wicher złamał tylko spróchniałą gałąź-pień drzewa nietknięty i żyje. Wszystkich gałązek nie ocalisz, samego nawet drzewa, o ile jest nad ziemią, nie zabezpieczysz przeciw zepsuciu, ale pilnuj korzenia, tam życie".

Ten korzeń zdrowy i nietknięty, to lud polski, który ma odrodzić całe drzewo narodu. Jakże więc pogodzić sprzeczne napozór wypowiedzi autora o szlachcie, którą raz bezlitośnie krytykuje za prywatę, obojętność narodową, powierzchowność, to znów idealizuje, nazywając ją jedyną nosicielką świętości narodowych? Jak pogodzić jego niewzruszoną wiarę w lud polski, z pełnem zniechęcenia zdaniem o jego ciemnocie i że jedynie szlachta może go pociągnąć do walki o wspólne cele narodowe?

Goszczyński był obdarzony niewątpliwym instynktem socjalnym i potrafił przeprowadzić analizę wartości zróżniczkowanej wówczas niezmiernie warstwy szlacheckiej, nazywając arystokratów „śmiertelnymi wrogami nowych wyobrażeń" i nakazując się ich strzec, oceniał krytycznie ogół przeciętnej szlachty i podkreślał wartości społeczne szlachty demokratycznej, dołowej. Wyczuwał on niepożyte siły i walory etyczne, drzemiące w ludzie, zdając sobie sprawę z jego ówczesnego słabego rozbudzenia społecznego.

Późniejsze „otrzeźwienie" Goszczyńskiego i zwrot ideologiczny, jaki zaszedł w nim pod wpływem teorji Towiańskiego — epokę tę oficjalni krytycy i komentatorzy szkolnych wydawnictw chcą uważać za punkt szczytowy jego ewolucji życiowej — nie powinny nam przesłaniać obrazu poety-demokraty, poety-bojownika. Ewolucję tę, typową zresztą dla wielu jego współczesnych, można sobie wytłumaczyć krytycznem położeniem emigracji polskiej, atmosferą „zapóźnych żalów, potępieńczych swarów", oderwaniem się od społeczeństwa, nierealnością snutych koncepcyj wyzwolenia Polski, które były właściwie rachunkiem bez gospodarza, beznadziejnością sytuacji, która sprzyjała rozwojowi teoryj mistycznych. Podchodząc do sprawy od strony psychologji jednostkowej, możemy zaliczyć Goszczyńskiego do ludzi, u których, po latach życia aktywnego i pełnego buntu, przychodzi zmęczenie i rezygnacja zastępuje miejsce wrzącego protestu przeciw krzywdom społecznym, co najprościej i najboleśniej wyraził Kasprowicz:

„Przestałem się wadzić z Bogiem — serdeczne były to zwady — zrodziła je ludzka niedola — na którą **nie ma już rady**". Nawet późniejsze potępienie przez samego Goszczyńskiego swej dotychczasowej twórczości nie powinno przekreślić w naszych oczach zasług i zdobyczy człowieka, który marzył o chwili, gdy miejsce dzisiejszego wegetującego społeczeństwa zajmie „jeden nieśmiertelny król, któremu na imę — miljon".

Powieści społeczne

Jan Karol Wende. Człowiecze drogi. Powieść. Warszawa, F. Hoesick, 1938; str. 295 i 1 nl. Zł. 7.—. — **Janina Brzostowska. Kobieta zdobywa świat.** Powieść. Warszawa, F. Hoesick, 1937; str. 253 i 3 nl. Zł. 7.—. — **André Sillon. Jego Ekscelencja ogląda świat.** Powieść. Autoryzowany przekład z francuskiego **Zygmunta Wita.** Warszawa, F. Hoesick, 1938; str. 215 i 1 nl. **Andrzej Wolica. Ulica Ogrodowa.** Powieść. Warszawa, F. Hoesick, 1938; str. 309. Zł. 7.—.

Bohaterem powieści Wendego jest Antoni Koterba, młody robotnik w fabryczce musztardy; tę pierwszoplanowość jego stanowiska określa znaczenie uświadomionej klasowo jednostki w walce proletarjatu — tutaj ma ona charakter ściśle ekonomiczny. Stosunek robotnika do pracodawcy-wyzyskiwacza powoduje wszystkie powikłania powieści, jest logiczną podstawą akcji. Wynika z tego szablon, psujący — niestety — większość naszych powieści: wybiera się odpowiednie typy; fabrykant jest łajdakiem, wyzyskuje w niesłychany sposób pracowników, obdarzony jest prócz tego litanją perfidnych, „kapitalistycznych" przymiotów. Jego antytezą jest szlachetny proletarjusz, świadomy swych celów, prowadzący otoczenie do walki ze śmiertelnym wrogiem. Tego rodzaju szablon łatwo można zrozumieć: nad powieścią zaciążyły dzieła teoretyczne i spowodowały nieporozumienie. Powieść nie ma być ilustracją koncepcji myślowych, lecz ich transpozycją na grunt osobowości, ujrzeniem ich przez pryzmat ludzkiego indywiduum. Aspekt jednostki jest pierwszorzędny; inaczej całe dzieło tchnie szablonem. Chodzi przedewszystkiem o całą rodzinę Kotlińskich. Być może, istnieją gdzieś tacy ludzie, ale są bardzo niepodobni do prawdy. A to tylko obowiązuje.

Niewyraźność psychologiczną bohaterów wynagradza — z tego samego źródła mający swój początek — pewien heroizm; wytężająca walka przeciw **tamtemu światu**, który ich nie chce uznać — wzgardzonych i odrzuconych. Bohaterska postawa uwidocznia się w walce: sceny strajku, lokautu, aresztowań; istnieje jednak we wszystkich życiowych szczegółach. Na codzień przeobraża się w surowość i jednolitość etyczną, w brak wewnętrznych powikłań moralnych, cechujących raczej warstwę posiadaczy. Istotę rzeczy określić można krótko: klasa przyszłości.

Na innej zupełnie platformie odbywa się życie w powieści Janiny Brzostowskiej „Kobieta zdobywa świat". Ewa Rokszańska „wyrywała się ku szerszym widnokręgom myśli, pracy i przeżyć, a uczucia jej były bezustannym protestem przeciw małości i głupocie spraw, które działy się obok niej". Taka jest Ewa z początku powieści, jeśli uwierzy się słowu autorki. Przebywa trudną podobno i uciążliwą drogę ku „wyżynom ducha". W ostatnim rozdziale jest całkiem inna, świadoma praw trudnego życia: „właśnie dzięki przebytym cierpieniom znała teraz wartość życia, wartość pracy i miłości. I poznała, jak niezmierne znaczenie posiada myśl człowieka, tworząca czyny". Poznanie inżyniera społecznego, Jagmonta, skierowuje ją ku socjalizmowi; uważa, że ma prawo pragnąć, aby ją zechcieli przyjąć w swoje szeregi budowniczowie jutra.

Właśnie to prawo jest wątpliwe. Powieść ma tendencje szlachetne; jej bohaterowie (Ewa, Krzemiński, Jagmont) są mocno wyidealizowani. Wynikiem jest nieżyciowość tych postaci. Obserwujemy tu jednak sprawę zupełnie inną, niż w książce Wendego. Mamy rzeczywisty, ciekawy proces psychiczny bohaterki, który upodobnia się do szablonu wskutek określenia go słowami bez pokrycia. Postacie bezwarunkowo szlachetne są nam dane — na kredyt. W rzeczywistości bowiem nic nie wskazuje ich wyjątkowych walorów etycznych. Mówi o nich autorka. Zostają w kręgu jej słów, mgliści i papierowi, nie wyrażają się w inny sposób.

Powieść napisana jest przez poetkę, która mało liczy się z istnieniem czytelnika; załatwia pewne sprawy pomiędzy sobą i swojemi postaciami. Czytelnik wykreślony z możliwości współistnienia, pozostaje sceptyczny i nieufny.

Gdyby ktoś uwierzył w słowo „powieść", określające charakter książki André Sillona, mógłby wytoczyć przeciw niej niesłychane zarzuty. Autor nie ma zamiaru stworzenia dzieła sztuki, choć z humorem stwierdza na wstępie, że „powieść ma mieć

charakter wypoczynkowo-rozrywkowy". W rzeczywistości jest ilustracją marxistowskich teoryj, bardzo konsekwentnem wyciągnięciem wniosków z nieprawdopodobnego zdarzenia dzisiejszych czasów: faszyzmu. „Jego Ekscelencja", przemęczony nieustającym ciągiem oficjalnych błazeństw, sam sobie udziela urlopu i incognito ogląda własny kraj. O położeniu ludności informowała go dotąd zakłamana klika Dyktatora; ale Jego Ekscelencja nie wierzy ich słowom i po pierwszych rozczarowaniach postanawia: sam ujrzy wszystkie sprawy swych poddanych. Bezpośrednio chce poznać ich życie, nie ufa oszukańczym sprawozdaniom i statystykom. Znajduje rzeczy dziwne, nieoczekiwane, niezrozumiałe: inferno faszyzmu, najostateczniejszego krańca sprzeczności kapitalistycznego systemu produkcji. Paradoks sam w sobie, karykaturalne dziwadło, gryzące swój własny ogon. Jakże zaboli nagle palące uderzenie kańczugiem, gdy nie ucieknie się na czas przed rozpędem konnej gwardji! A on tak szczerze oklaskiwał jej karność w czasie pałacowych defilad. Jego Ekscelencja jest zawstydzony. Jak niesłychane są w dwudziestym wieku okrucieństwa przedpotopowych więzień i przekleństwa naszej epoki, koncentracyjnych obozów! Jego Ekscelencja — więzień polityczny. Spostrzega: za mało jest oglądać wszystkie cierpienia swego ludu; wyciągnięcie wniosków jest równoznaczne z czynem. Książka kończy się sceną upadku faszyzmu. Zwycięski pochód socjalizmu miażdży zbrodniczą klikę Dyktatora. Jego Ekscelencja będzie pierwszy świadczyć przeciw niemu przed sądem Ludu i Historji.

Dla ludzi, zmęczonych suchą teorją i powagą rozważań ekonomicznych, i dla tych, co wogóle nie lubią nauki, będzie ta książka ogromnie pouczającą rozrywką.

Oglądać drobny szczegół, wycinek niewspółmierności życiowej ustroju paradoksów: to boli bardziej, niż stokroć ważniejsze sprawy, dane w teoretycznych rozprawach. Smutna ironja nazwy, pachnącej wczesnym majem, radosnym śmiechem młodości. Nad ulicą Ogrodową wznosi się mdlącym oparem nieznośna woń filantropijnej zupki. Tutaj mieści się „Przytułek pod Świętem Wezwaniem" — dla biednych, bezdomnych dzieci.

Andrzej Wolica analizuje niewielki skrawek dobroczynności dzisiejszej, zawarty w beznadziejności owego filantropijnego zakładu. Problem ma dwa aspekty: dzieci i wychowawców. Nieprawdą jest, że dzieci przychodzą do przytułku. On zbliża się do nich, zagarnia zgłodniałemi palcami w wyłączne posiadanie. Jest zazdrosny negacją wszystkich marzeń o pełni swobodnego życia. Staje się jedyną treścią dziecięcej osobowości. Nie wolno złamać w sobie wyłączności jego władzy: przekonywa się o tem Zosia i Franek po buntowniczej wyprawie skatowani nieludzko, przekonywa się o tem zwolna cała gromada męczenników miłosierdzia ludzkiego. Wychowawczyni Magda myśli („cynicznie"): „ulicznikom, nawet tym najbiedniejszym, bezdomnym, jest lepiej, niż tamtym za pobliskim murem".

Zagadnienie ulicy Ogrodowej pozwala się sformułować w sąd jasny: paradoks współczesnej dobroczynności wynika prosto z całego systemu. (Tak określiłby to Roman Chmielewski-socjalista). Jest w swej istocie wyrzutem sumienia, oscylującego między rzeczywistością a idealnem kłamstwem, w które zdążyło się uwierzyć. Tu ma swoje uzasadnienie owa galerja wychowawców. Nieprzypadkowo są to stworzenia zwyrodniałe lub nieszczęśliwe. Cóż ma do powiedzenia wobec rzeczywistości przybłęda z idealnego świata, kurator Zenon Chmielewski, podchodzący do ludzi „ z sercem, z uczuciem miłości i braterstwa, z radą i pomocą". Może zapewnić dzieci, że nie pozwoli nikomu uczynić krzywdy, że wszystkie bolesne sprawy załatwi się w spokoju i sprawiedliwie — a potem odjechać z Polski, której nie nauczył się rozumieć.

Czyżby więc pojął ją przyziemny materjalista, erotoman i sadysta Ballin (widzimy: Ballinów jest znacznie więcej, niż Chmielewskich)? Zdaje się, że nie. Jego zdobycze są właśnie bezwartościowe; bo zawodzi go znajomość dzieci. Kulminacyjne starcie dwóch myśli jest niepodobne do rzeczywistości. Dzieje się na innej jakiejś platformie; poprostu: jest nieżyciowe. Dwu ludzi, odseparowanych nocą i murem od świata, rozprawia, czyj — powiedzmy: plan życiowy — zwyciężył. Tymczasem życie wygląda całkiem inaczej i toczy się w odmiennym kierunku. Pokonywa wszystkich pracowników zakładu, symbolicznego więzienia ludzkiej dobroczynności. Ich stosunek do tej machiny znaczy się szeregiem ucieczek i klęsk.

Czy nikt nie zrozumiał istotnego znaczenia tych spraw? Nie wiemy. Socjalista Roman Chmielewski przesuwa się niewyraźnym cieniem na horyzoncie spraw, nie wykraczając poza swą miłość i poświęcenie. Zatraca się gdzieś w niewiadomości, co zewsząd na nas czyha. A więc?

Pozostają tylko ostatnie słowa:

„Czy wierzę, że ludzie zawsze mordowali się nawzajem tak jak to dziś czynią, że zawsze byli kłamliwi, podstępni, przewrotni, niewdzięczni, drapieżni, słabi, zmienni, tchórzliwi, zazdrośni, chciwi, łakomi, opoje, skąpi, ambitni, krwiożerczy, potwarcy, rozpustni, fanatycy, obłędni i głupi?

Tak, wierzę. I ze smutkiem muszę wyznać ci to, cierpliwy mój towarzyszu — straciłem już wiarę, by kiedykolwiek było inaczej".

Edward Csáto

»Przepraszam że żyję«

Włodzimierz Wiskowski. Przepraszam że żyję. Wydanie drugie. Warszawa, J. Przeworski, 1938; str. 410 i 6 nl. Zł. 7.—.

Książka zasługuje na uwagę nietylko ze względu, o którym wspomniała senatorka Fleszarowa w swem ostatniem przemówieniu o cenzurze: nietylko spowodu niezrozumiałej konfiskaty (czasowej zresztą, bo ostatecznie uległa skreśleniu tylko pewna część książki). Książka ta zasługuje na uwagę ze względu na bezmiar ukazanego w niej ludzkiego cierpienia. Każdy normalny człowiek, o ludzkiej, niezboczonej psychice, reaguje zawsze na prawdziwą, pełną prostoty i wyrazu, relację o cierpieniu bliźnich. Ileż tam tego zaklęto, uwięziono w tej dobrej, przesmutnej, głęboko ludzkiej książce! Autor, któremu wypadło przebyć pięć lat w więzieniu, posiada nieczęsty dar wczuwania się i wżywania w przeżycia innych ludzi; pozatem obdarzony jest jeszcze inną, niezmiernie rzadką zaletą: braku egocentryzmu, zaletą dyskretnego przechodzenia do porządku nad własną osobą, nad własnem cierpieniem. Pierwsza ma tę właściwość, że zbliża czytelnika do cierpienia obcych, nieznanych ludzi, zbliża tak bardzo, że się wprost widzi bezradne spojrzenie biednego poleszuka, który „nie krał", lecz „brał drowá do pieczki", który nie mógł pogodzić się z zabraniem mu jedynej krowy za zaległości podatkowe, gdyż: Jakże bez Krasuli? a jakże ditki bez mołoká?...

Widzi się bezradne, nie pojmujące swej winy oczy chłopa. Jest tuż przy nas, znamy go... Podobnie jest z innymi opisanymi więźniami, których łączy nie wina — często jakże sporna, jakże problematyczna w tych strasznych, kryzysowych gospodarczo i moralnie czasach — lecz wspólność cierpienia, wspólność niedoli. Duża jest sugestywność tej książki.

Wiskowski, jak sam o tem wspomina, nie przebywał w Polsce w więzieniu politycznem (siedział natomiast w takiem za czasów Polski Niewolnej, a to mówi nam dużo o autorze „Przepraszam, że żyję"). Może dlatego więźniowie polityczni nie są w tej książce żywi, nie zbliżają się do nas jak chłopi, siedzący „za lis". Wiskowski nie miał i nie mógł mieć, rzecz oczywista, żadnych kontaktów z odsiadującymi więzienie polityczne. Dlatego nieuwidoczniona jest w tej książce wielka, żywa, płomienna bolączka i krzywda więźniów politycznych, o której trzeba wiedzieć i wspomnieć, niezależnie od tego, czy się sprzyja czy nie tym lub innym prądom i kierunkom politycznym: to przekreślenie odrębnych, należnych więźniom ideowym, praw.

Jednak i przy tym braku książka ta jest głęboko humanitarna, prawdziwa. I jeszcze jedna osobliwość, również wypływająca niewątpliwie z osobowości autora: książka ta, pomimo, że przesycona jest ludzkiem cierpieniem (najcięższem z cierpień — cierpieniem uwięzionych) promienieje wprost dobrocią i pogodą ducha. Nawet stosunki z administracją więzienia — przez długie lata — stosunki z natury rzeczy nie należące do miłych — prześwietla tu wyrozumiałość, dobroć, pogoda.

Było mi to bardzo trudno zrozumieć, póki nie poznałam osobiście autora.

Teraz wiem, że bywają ludzie, którzy nawet w najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach potrafią promieniować najpiękniejszą z cech ludzkich: dobrocią.

Halina Krahelska

Powieść Rotha

Józef Roth. Historja nocy 1002. Warszawa, „Rój", 1938; str. 351. Zł. 7.

Niema wielkich problemów w tej nowej powieści Rotha, jest „tylko" kunszt wybitnego pisarza, udowadniający raz jeszcze, jak w gruncie rzeczy jałowa i beznadziejna jest próba oceny działa literackiego pod kątem widzenia hierarchji tematu. Opowieść osnuta na tle błahego zdarzenia — wizyty szacha perskiego w Wiedniu Franciszka Józefa — stała się w ujęciu Rotha historją o najrozmaitszych, skomplikowanych relacjach, zachodzących między wypadkami „wielkiemi" a życiem szarych, przeciętnych ludzi. Czy ludzie ci, a więc przedewszystkiem bezmózgi c. k. Hamlet austrjacki baron Taittinger i jego nieszczęsna przyjaciółka z przypadku Mizzi Szinagl są naprawdę szarzy i przeciętni? Odpowiedź na to pytanie wkłada autor w usta twórcy figur woskowych Percoliego, który powiada: „Mógłbym może sporządzić figury, mające serce, sumienie, namiętność, uczucie, moralność. Ale o takie rzeczy nikt na świecie nie pyta. Świat żąda tylko kurjozów, domaga się potworów". Takiemi dziwacznemi figurami, mimo cały ich realizm, są postacie tej książki, na które los włożył ciężkie brzemię rozkładu epoki, rozkładu społeczeństwa, rozprzęgania się zmurszałej monarchji austro-węgierskiej. Jakiś posępny fatalizm, bezlitosna, ślepa przypadkowość włada beztroskim napozór i barwnym światem tej powieści.

Książka jest smutna, lecz przepojona równocześnie pełnym pobłażliwości sceptycyzmem, kryjącym w sobie afirmację wszelkiej iluzji. Wszyscy jesteśmy ślepi, błądzimy, a pewność istnieje tylko — w śmierci. Tak więc życie jest iluzją, jest baśnią z 1002 nocy, którą należy przyjmować właśnie jako baśń. Dla dziwnego legitymisty Rotha jest taką baśnią monarchja austro-węgierska z swą duszno-słodkawą atmosferą, barwną dekoracją, kryjącą nicość, i ludźmi - schyłkowcami.

Anonimowy tłumacz powieści wywiązał się dobrze ze swego zadania. Nie uronił nic z piękna oryginału, podając wiernie na język polski urok specyficznego stylu autora.

Stefan Frank

Kronika ukraińska

Nowela w r. 1937. Literatura ukraińska w państwie polskiem jest naogół dość uboga. Po wojnie wyróżnili się tylko poeci. Dopiero po r. 1930 pojawili się wybitniejsi prozaicy (Ułasa Samczuka „Wołyń"). Szczególnie bogaty, zwłaszcza w utwory nowelistyczne, był rok 1937. Na czoło wysunął się Jurij Kosacz, również znany poeta. W r. 1937 wydał trzy tomy opowiadań, o tematach przeważnie historycznych z dziejów Ukrainy: „Trynadciata czeta", „Kłubok Arijadny" i „Czariwna Ukraina". Najlepszy jest tom ostatni, za który Kosacz otrzymał nagrodę Towarzystwa Pisarzy i Dziennikarzy im. I. Franki i nagrodę Ukraińskiego Katolickiego Sojuzu. Podobny temat, co „Czariwna Ukraina", porusza Jurij Łypa w tomie III. „Notatnyka". Czasami walk o niepodległość zajmuje się również Łeonid Mosendz w tomie „Ludyna pokirna". „Rehit Aridnyka" R. Jendyka to zbiór opowiadań, oddających atmosferę życia huculskiego. Tom Zofji Parfanowycz „Cina żyttia" przynosi psychologiczne i społeczne obserwacje z życia lekarskiego. W. Karchut, także lekarz, w tomie „Cupka żyttia" daje opowiadania z życia zwierząt. Debjutem jest tom Włodzimierza Birczaka „Zołota skrypka", zawierający szereg krótkich szkiców. Michał Romanyszyn w tomie „W granatowych horach" jest piewcą gór łemkowskich, jak był nim w poezji przedwcześnie zmarły B. I. Antonycz. Tom „Diwczata oczajdusznych dni" Fedora Dudka przenosi w okres walk niepodległościowych. Iwan Zubenko wydał zbiór opowiadań „Za kulisamy żyttia", o treści erotycznej.

To są wszystkie wybitniejsze tomy nowel z roku ubiegłego. Przeważają w nich tematy wojenne, podnoszące heroizm walk o niepodległość narodową i państwową.

Swój szkic o noweli w r. 1937 kończy Ł. Buraczyńska („Rozmach prozy", „Nazustricz", 1. III.): „Doprawdy, cieszy nas proza w r. 1937. Jest bogata i jeszcze więcej zapowiada. Odczuwa się w niej rozmach i dalsze możliwości".

O Stanisławie Vincenzu. O książce Stanisława Vincenza „Na wysokiej połoninie" pisze „Nowa Zorja" (27. II.): „Autor zna cudownie kraj i naród, o którym pisze, i, co jest rzeczą bardzo ważną, kocha go, jak swoją ojczyznę. Już te dwie zalety wystarczyłyby, aby pracę tę wyróżnić spośród „regjonalnych" powieści w rodzaju różnych „Duchów Czarnohory", pełnych fantastyki i tendencyjności. Ale utwór Stanisława Vincenza ma jeszcze inne, czysto literackie zalety: piękny, poetyczny styl i dobre przekłady kolęd. Pozatem zasługuje na uwagę napół beletrystyczna forma, która przypomina tak poczytne na Zachodzie powieści biograficzne. Książka Vincenza to na tle polskich utworów literackich o tematach ukraińskich zjawisko ciekawe i niecodzienne. Że autor udatnie przedstawił jeden z najpoetyczniejszych zakątków naszej ojczyzny, o tem może świadczyć wielkie uznanie, z jakiem mówił o jego pracy pewien ukraiński pisarz, sam z pochodzenia Hucuł i autor szeregu opowiadań o Hucułach".

OBLICZE DNIA

Prorocze słowa. Są wśród was tacy, którzy powiadają sobie, że może z wojny europejskiej wytryśnie płomień rewolucji.

Ale mogą z niej wyjść równie dobrze, i to na długi okres czasu, kryzysy kontrrewolucyj, wściekłej reakcji, rozjątrzonego nacjonalizmu, dławiącej dyktatury, potwornego militaryzmu; długi łańcuch wstecznych gwałtów, niskich nienawiści, represyj i niewoli (Jean Jaurès).

Sielanka. Według sprawozdań Ligi Narodów wydatki bezpośrednie całego świata na marynarkę, armję i lotnictwo wynosiły: w 1932 r. — 4.3 miljarda dolarów w złocie; w 1933 — 4.5 mil.; w 1934 — 5.1 mil.; w 1935 — 5.6 mil.; w 1936 — 5.8; w 1937 — 7.1 mil. Z tych 7.1 miljarda na Europę przypada 4.6 miljarda („Persdienst", 21. I.).

Byle handel szedł. Eksport nafty z Rosji sowieckiej do Japonji, wynoszący w 1935 i 1936 r. 22 tys. tonn, wzrósł do 50 tys. tonn w ciągu pierwszego kwartału 1937 r. („La Flèche", 8. I.).

Morski wyścig zbrojeń. Japonja buduje dwa pancerniki o wyporności 40—45 tys. tonn. W odpowiedzi na to Stany Zjednoczone postanowiły zbudować dwa nowe pancerniki o pojemności 35 tys. tonn. Program morski, który prez. Roosevelt przedstawi Kongresowi, przewiduje powiększenie tonażu floty o 237 tys. tonn. Mussolini rozpoczął ze swojej strony budowę dwóch pancerników, 12 krążowników i licznych łodzi podwodnych. Anglicy mają zbudować 80 nowych okrętów wojennych, w tej liczbie 5 pancerników. Francja ma na warsztacie 3 pancerniki, 2 krążowniki, 10 torpedowców i 11 łodzi podwodnych. Pomyśleć, że pancernik kosztuje zgórą 2 miljardy fr., że narody uginają się już pod ciężarem budżetów wojennych i że nic się nie robi, aby się oswobodzić od tej zmory („La Patrie Humaine", 28. I.).

Patrjotyzm, powiadacie, każe się zbroić. Ale w takim razie dlaczego dostarczacie państwom faszystowskim wszystkiego, co potrzebne im do zbrojeń? Żelazo, nikiel, aluminjum, naftę, miedź, bawełnę, armaty, samoloty, pieniądze?

Czy jesteście zatem, o kraje demokratyczne, przedewszystkiem kupcami, a krew waszej ludności nic nie znaczy wobec religji zysku? („La Patrie Humaine", 18. II.).

Kącik humorystyczny. Wizyta Hitlera w Rzymie będzie zapewne miała miejsce w kwietniu, wyżsi urzędnicy policyjni wyjadą wkrótce do Włoch, aby ustalić... ile osób należy wziąć pod areszt ochronny. („The New Statesman", 12. II.).

Umiłowanie pokoju. Cały świat chce pokoju. Mężowie stanu cisną się dokoła symbolicznego gołębia, którego zapewne w tłoku zaduszą.

Na nieszczęście Liga Narodów spłatała urzędowym pacyfistom złośliwego figla, publikując dane dotyczące zbrojeń w r. 1937. Jak się okazuje, każdego dnia tego roku świat wydawał miljard franków na zbrojenia. Miljard dziennie!

Francja pozostawiła w ciągu tego roku 21 miljardów fr. w rękach swoich fabrykantów armat, szrapneli, samolotów bombardujących, okrętów wojennych, fortów betonowych i masek gazowych. Anglja — 25 miljardów, Niemcy — 78, Rosja — 89, Włochy — 26.

Tymczasem ludzie umierali z głodu i chłodu.

Być może nasi potomkowie splungą z pogardą na myśl o tem.

Ale przeczytają przemówienia Hitlera, Stalina i Mussoliniego i dowiedzą się z nich, jak bardzo ludzie 1937 roku miłowali pokój. („La Patrie Humaine", 24. XII. 1937).

Interes jest interesem. Kto dostarcza Japonji nafty? Stany Zjednoczone dostarczają 63% importu krajowi, który prowadzi wojnę. Indje niderlandzkie — 27%. Rosja — 10%. Oskarżając wymownie Japonję o imperjalizm, rząd sowiecki jednocześnie przedłużył na dalsze 5 lat traktat handlowy handlowy z Japonją i to w grudniu 1936 r.

Kto dał Włochom naftę niezbędną dla wyprawy abisyńskiej? Rumunja, Stany Zjednoczone, Rosja, Irak.

Kto dostarcza nafty Niemcom? Stany Zjednoczone, Indje niderlandzkie, Persja, Rumunja, Peru, Wenezuela i Rosja. Rząd sowiecki podpisał 10 stycznia 1935 r. nowy, pięcioletni traktat handlowy z Niemcami. Od 1935 r. eksport niemiecki do Rosji wzrósł od 25 miljonów marek do 102 miljonów! („Le Barrage", 20. I.).

Wojna się opłaca. Fabrykanci broni Stanów Zjednoczonych sprzedali w grudniu 1937 r. Japonji armat, szrapneli i samolotów za 250.282 dolary, a jednocześnie dostarczyli Chinom broni za 290.632 dolary.

Sporo pieniędzy. Toteż japoński fabrykant broni, Ayukawa, postanowił udać się do Ameryki i wystarać się o małą pożyczkę dla swego przedsiębiorstwa.

Japończycy umierają, Chińczycy umierają, zyski ciągną Stany Zjednoczone, które następnie wręczają je zagranicznemu fabrykantowi broni dla założenia nowych fabryk i przygotowania nowych rzezi. I zawsze znajdą się zabici, dużo zabitych dla wyrównania rachunków. („La Patrie Humaine", 21. I.).

Uwodzenie nieletnich. Panna Jutta Rudiger, kierowniczka żeńskiej młodzieży hitlerowskiej, komunikuje nam przez radjo swoje najnowsze pomysły.

Dwunastoletnie dziewczynki będą miały obowiązkową naukę posługiwania się busolą i mapą sztabu generalnego. Dobre uczennice otrzymają nagrody w formie... odznak honorowych.

Po skończeniu 17 lat obowiązywać będzie służba sanitarna i ćwiczenia z obrony przeciwgazowej.

Szał wojenny, który ogarnia ludzkość, nic nie oszczędza. Dwunastoletniej dziewczynce zamiast lalki daje się mapę sztabu generalnego! Szesnastoletnie dziewczę zamiast marzyć o miłości zajmie się bandażowaniem i gipsem!

Gdy niemowlęta dostaną medale zamiast zabawek, ponieważ nie płakały podczas nakładania maski, co napewne niedługo nastąpi, panna Jutta Rudiger oznajmi przez radjo osłupiałemu światu, że cywilizacja doszła do punktu kulminacyjnego. („La Patrie Humaine", 28. I.).

W OCZACH ZACHODU

OBOWIĄZKI LUDZI SZCZĘŚLIWYCH

Pod powyższym tytułem znany pisarz Jan Guehenno pisze:

„Każdy chce, by jego myśl była myślą mas. Demagogja psuje demokrację. Duch propagandy zastępuje wszędzie ducha prawdy. Strzeżmy się. Nie zdajemy sobie w całej pełni sprawy ze szczęścia, które jest udziałem naszego kraju. Nie znaczy to, byśmy mieli przymykać oczy na jego niedole, ale jeśli chcemy go uzdrowić, nie wyrzekajmy się naszego rozumu. Kilka lat temu krytycy niemieccy Ernest Curtius i Friedrich Sieburg starali się nas zawstydzić, wyrzucając nam nasz spokój. Było w tych wyrzutach więcej zazdrości, niż szczerości... Szczęście nie jest rzeczą ani tak bardzo łatwą, ani tak śmieszną, jak chcą nam to wmówić.

Paryż jest dziś jedyną wielką stolicą Europy kontynentalnej, gdzie każdy może głośno myśleć o wszystkiem. Francja stała się schronieniem wygnanych ludów. Biali z Rosji sąsiadują tu z czerwonymi z Niemiec i Włoch. Pomiędzy sobą żyjemy my Francuzi w dość pokojowej niezgodzie... Dwa lata temu rozpoczęliśmy rewolucję, która nie kosztowała nas ani kropli krwi. Nie jest to rewolucja pełna, zdobycze jej są dopiero częściowe, lecz mimo to zrobiła ona z robotnika francuskiego najbardziej wolnego robotnika w Europie, robotnika, którego godność jest najlepiej broniona przez prawo.

Niektórzy nasi towarzysze mają słuszność, kończąc każde swoje zebranie oświadczeniem, że chcą zbudować Francję wolną, silną i szczęśliwą. Co do tego punktu wola ich zgadza się z wolą całego Zjednoczenia Ludowego. Ale każdy z nas zrobiłby dobrze, gdyby pomyślał, że żaden kraj w Europie nie jest już obecnie tak wolny i szczęśliwy, jak Francja. Jest bowiem rzeczą pewną, że to szczęście jest dziełem rozumu, może rozumu przeciętnego, ale trwałego i odpornego, dziełem ducha, swobodnej wymiany myśli i prawdy.

Gdybyśmy byli zupełnie świadomi naszego szczęścia, staralibyśmy się przedewszystkim ocalić ducha prawdy. Życzylibyśmy sobie wtedy wszyscy, by ten czy inny wiatr wiejący ze wschodu nie przyniósł nam nigdy do Paryża Zygfryda „człowieka ze stali, który umiałby zdusić nasze niezgody".

Niezgoda w demokracji ma swoje dobre strony. My powinniśmy lubić nawet nasze starcia. W starciach myśli bowiem możemy zawsze ustalić prawdę i możliwie największą sprawiedliwość. Zjednoczenie Ludowe, ten francuski wynalazek, jest tylko demokracją aktywną, demokracją w szyku bojowym. Gdyby udało się demagogji wypaczyć stosunki między partjami, z których się składa, byłoby już po froncie szczęścia Francji, po tym klimacie rozumu, w którym próbujemy żyć i rewolucja stałaby się już tylko krwawą i niepewną przygodą.

Nie powinniśmy oczywiście unosić się próżną dumą spowodu naszego szczęścia, ale tem bardziej nie powinniśmy się go chyba wstydzić! Powinniśmy uczynić wszystko, aby je uratować nietylko dla nas samych, ale jeszcze bardziej dla innych, jako przykład. Ludzie szczęśliwi mają wielkie obowiązki.

Kilka dni temu, czytając zachwycającą powieść André Malraux: „Nadzieja", jeszcze lepiej oceniłem szczęśliwy los, który nam przypadł. Ten wspaniały fresk, malowany zda się krwią, budzi we mnie tylko jeden krzyk: Precz z wojną, nawet religijną! Współczułem naszym towarzyszom w Hiszpanji, ale nawet talent Malraux nie mógł sprawić, bym im zazdrościł. Bardziej niż kiedykolwiek lękałem się tego obłędu, który zmusza ludzi, by stali się bohaterami. Oczywiście, gdyby zaszła nieunikniona potrzeba walki, przyjęlibyśmy ją, jak musieli ją przyjąć nasi towarzysze hiszpańscy. Znaleźlibyśmy w sobie źródła potrzebne, by ją wygrać. Te źródła znajdują się zawsze. Ale źródła rozumu są jednak rzadsze i bardziej cenne. I zamiast poddawać się egzaltowanemu podnieceniu, które jest zresztą obecnie, jak się zdaje, wspólne całej Europie, oddamy jej wielką usługę, pokazując, co może zdziałać pewne umiarkowanie i rozum. Dla pokoju wewnętrznego i pokoju międzynarodowego".

DLACZEGO ANGLJA POMAGA MUSSOLINIEMU?

Cała korzyść, jaką Wielka Brytanja odniesie z porozumienia z Włochami, jest ta, że będzie miała możność użyczyć pożyczki Mussoliniemu. Chamberlain oświadczył, że poświęcił Edena, ponieważ chciał uniknąć wojny. Ale jeśli Duce chciał pożyczki, to nie dlatego, że jest dość silny, żeby walczyć, ale ponieważ jego położenie jest złe. Mając 250 tysięcy żołnierzy w Abisynji, 80 tysięcy w Libji i 50 tysięcy w Hiszpanji, niewiele ofert znalazłby u prywatnych bankierów. Pożyczka angielska dostarczy węgla i angielskich surowców. W ten sposób Duce będzie miał kilka miljonów wolnych na zbrojenia. Ale w jakim celu Brytanja pomaga zbroić się Mussoliniemu? Ponieważ ludzą się ci, którzy myślą, że Chamberlain i jego przyjaciele są zasadniczo przeciwni Mussoliniemu. Duce wie o tem, tak jak znał prawdę o sankcjach w sprawie Abisynji.

Myśl o zmianie stosunków we Włoszech przeraża członków klasy rządzącej Anglją, która znów łudzi się, ufna w swe doświadczenie z XIX wieku, że dłużnicy robią to, co im nakazują wierzyciele.

PRZEMIANY AMERYKAŃSKIE

Salvador de Madariaga notuje zmiany, jakie zaszły w umyśle przeciętnego Amerykanina w sprawie osamotnienia Ameryki. Masy amerykańskie poczuwają się do pewnego pokrewieństwa z Europą, gdyż Ameryka jest jakby Nową Europą, są jednak zawsze jeszcze rozgoryczone, ponieważ warunki europejskie zmusiły ich do ekspatrjacji, odnoszą się z poszanowaniem dla twórczego talentu i historycznego préstige'u starego kontynentu; przeważa w nich jednak uczucie wyższości, ponieważ, jeśli chodzi o wolność, zamożność i dobrobyt, Ameryka wyprzedziła Europę.

Kryzys zmienił to uczucie wyższości. Amerykanie nie odmawiają już na zaproszenie do współpracy intelektualnej. Równocześnie ewolucja wewnętrzna Ameryki weszła także w nową fazę. Organizacja robotnicza, zgalwanizowana przez potężny genjusz Lewis'a, wchodzi na scenę i ośmiesza duet, który od pokoleń grały dwie partje. Również zjawienie się prezydenta o wielkiej indywidualności, który reformami społecznemi atakuje ostatni kraj, mający nietknięty kapitalizm, wprowadza zasadniczą zmianę w życie amerykańskie, które zapożycza słownik i technikę europejską. Słowa faszyzm i komunizm nietylko są wymawiane, ale też wykrzykiwane.

Tendencja do osamotnienia, która zależała od jednomyślności ludu amerykańskiego jest wstrząśnięta w samej podstawie, ponieważ po raz pierwszy od czasu wojny domowej następił istotny podział w politycznej świadomości narodu. Cieszą się z tego admirałowie, nie spuszczający oka z Japonji, cieszą się Żydzi, którzy zdaleka śledzą Berlin. Jest to na rękę komunistom. Dyplomaci tak często upokarzani przez państwa aroganckie spowodu nadmiernego pacyfizmu opinji publicznej w ich kraju, nabierają otuchy. Pacyfiści zastanawiają się, czy jest zawsze wskazane nadstawiać drugi policzek, kiedy pan znaprzeciwka żąda sakiewki i życia. („Marianne", 2. III.).

CZEGO CHCE CHAMBERLAIN?

Opinja francuska jest poruszona wiadomością o mających nastąpić rokowaniach angielsko-niemieckich, równoległych do rokowań angielsko-włoskich. Neville Chamberlain, przejęty przedewszystkiem bezpieczeństwem drogi imperjum brytyjskiego przez Morze Śródziemne, nie będzie wysuwał sprawy Austrji, od której w znacznej mierze jest zawisła sprawa niepodległości Czechosłowacji.

Neville Chamberlain jest przychylnie usposobiony do generała Franco i nie będzie zbyt wymagający w sprawie odwołania ochotników włoskich. Będzie to trudniejszy okres dla stosunków francusko-angielskich. Politycy francuscy muszą utrzymać równowagę między naciskiem Londynu i Moskwy. Jakkolwiek sympatje francuskie skierowane były w stronę ministra Edena, jednak premjer Chamberlain zainicjował zbrojenia angielskie. („Marianne", 2. III.).

PRZEGLĄD PRASY

„WIADOMOŚCI LITERACKIE" STRUGOWI

Po „Sygnałach" i „Czarno na Białem" „Wiadomości Literackie" wydały numer specjalny (749), poświęcony pamięci Andrzeja Struga. Gdy numery specjalne „Sygnałów" i „Czarno na Białem" uwydatniły Struga szczególnie jako człowieka, działacza i społecznika, „Wiadomości" oświetliły autora „Ludzi podziemnych" przedewszystkiem jako pisarza. Dopiero po przestudjowaniu wszystkich trzech numerów, zarysowuje się wszechstronna — chociaż jeszcze nie pełna — sylwetka Andrzeja Struga. Wiele czasu upłynie, zanim zostanie powiedziana prawda o nim samym i o czasach, w których żył, tworzył i działał. Znamienne jest bodaj, że prawie wszyscy piszący o Strugu w „Wiadomościach Literackich" mówią wiele o jego twórczości w latach ostatnich. Utwory przedwojenne („Ludzi podziemnych") przemilczano. „Wiadomości" zamieszczają kilkadziesiąt zdjęć Struga, dwa fragmenty z powieści „W Nienadybach byczo jest" i jeden z tomu drugiego „Miljardów", pozatem prace: J. Wittlina, J. N. Millera, W. Melcer, W. Rogowicza, P. Hulki-Laskowskiego, A. Stawara, W. Wasilewskiej, E. Breitera, J. Krzyżanowskiego, L. Kruczkowskiego, W. Kubackiego, K. Czuchowskiego i L. Pomirowskiego. Literatura polska złożyła hołd swemu wielkiemu przedstawicielowi.

WSPOMNIENIA

Zygmunt Zawirski, jeden z wybitnych uczniów prof. Twardowskiego, pisze o nim („Kazimierz Twardowski (1866—1938)", „Czas", 6. III.): „Surowość i rygoryzm profesora miały w sobie coś z niemieckiej systematyczności. Matka jego była zresztą Niemką, ś. p. zmarły odebrał wychowanie w środowisku niemieckiem, ale — rzecz ciekawa — filozofji niemieckiej nie lubił. Nie lubił ani Kanta ani filozofji pokantowskiej. Gdy w czasie rygorozum doktorskiego podałem, że jako filozofa specjalnie opracowanego wybrałem sobie Kanta, był prawie zdziwiony i nie mógł wstrzymać się od uwagi, że kontrast między krytyką rozumu praktycznego a krytyką czystego rozumu przypomina coś z doktryny średniowiecznej o prawdzie podwójnej. Znacznie wyżej cenił filozofów francuskich i angielskich, a zwłaszcza tych ostatnich za ich jasny i przystępny sposób pisania. Nie jest rzeczą przypadkową, iż pracę doktorską poświęcił Kartezjuszowi i jego kryterjum prawdy jako poznania jasnego i wyraźnego". — Roman Lang opisuje życie i działalność Edwarda Dembowskiego, jednej z najciekawszych postaci roku 1846 („Edward Dembowski „czerwony kasztelanic", „Epoka", 5. III.). — O zmarłym niedawno publicyście Tadeuszu Grużewskim wspomina jego towarzysz i przyjaciel Władysław Studnicki („Tadeusz Grużewski", „Słowo", 6. III.).

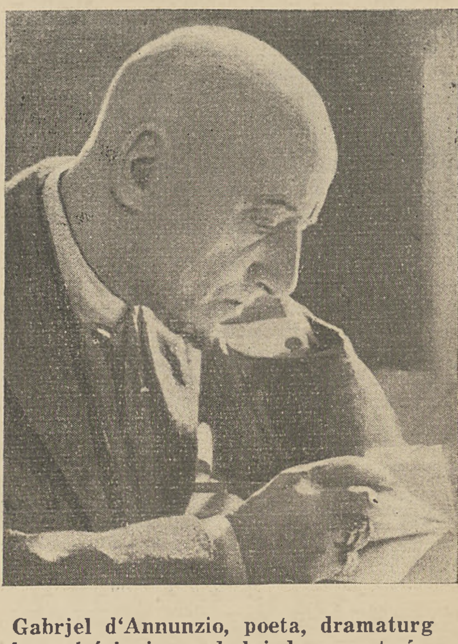
PRUSZYŃSKI O LEPECKIM

Bardzo krytycznie ocenia całą działalność pisarską Mieczysława B. Lepeckiego, zwłaszcza jego ostatnią książkę „Madagaskar" Ksawery Pruszyński („Konfederatki madagaskarskie", „Słowo", 6. III.). Pruszyński przypomina, że na Madagaskar zostali wysłani dwaj żydowscy fachowcy i dwaj polscy podróżnicy, parający się piórem. „Ta cudaczna, a przedewszystkiem nierówna ekspedycja, wróciła do kraju, i jednym z pierwszych jej owoców jest grubaśna książka majora Mieczysława B. Lepeckiego, zatytułowana „Madagaskar"... Major Lepecki jest postacią ciekawą... Otworzyły się przed nim naoścież wszystkie drogi i kraje świata. Najciekawsze, najbardziej zamknięte! O niektórych z nich, jak o Syberji, napisał aż trzy książki! Każdą przeplatał szeregiem wynurzeń osobistych i własnych refleksyj filozoficznych, co jednak nie podniosło wartości żadnej z nich. Każda zato przynosiła coraz sowitsze rekordy głębokiej naiwności autora... Taka, mówiąc językiem wojskowym, „wsypa" wystarczałaby do skończenia literackiej karjery w każdym kraju kuli ziemskiej. Ale to przecie nie jakieś niezależne pismo, ale państwo subwencjonuje te podróże... Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że to dzieło „naukowe" jest w stopniu nader wybitnym zależne od swoich „bibljograficznych źródeł", że „polski podróżnik" powtarza tu tylko w sposób możliwie, ale niezawsze wierny, wszystko to, co się naczytał o florze, faunie i krajobrazie Madagaskaru, że jest to raczej poprostu rozszerzony rozdział z pierwszego lepszego (i to raczej pierwszego, niż lepszego) podręcznika geografji szkolnej. Odpowiedzi jasnej na istotne dla emigracji pytania brak. Sceptyk zapyta, czy w takim razie potrzeba było aż obecności majora Lepeckiego na dalekiej wyspie, czy parę speców do którejś z bibljotek publicznych nie dałoby dostatecznie zbawiennego efektu... Zwrócimy tylko uwagę czytelników na ustęp, który mjr. Lepecki uważa bodaj za najbardziej osobistą i cenną zdobycz swej wielkiej wyprawy odkrywczej. Oto ponoć w jednem z plemion malgaskich nosi się kapelusze, podobne do rogatywek, co bystry nasz podróżnik wywodzi niechybnie od okrycia, jakie zapewne nosił Maurycy Beniowski. Polskie rogatywki na Madagaskarze! Niechybne ślady polskości za morzami! Nowy dowód naszego cywilizacyjnego pionierstwa w dzikich dżunglach Afryki!... Niestety! Możemy sądzić, że Beniowski nosił bardziej europejskie okrycia głowy, zwłaszcza jako oficer i zwłaszcza zagranicą, tem bardziej po pobycie we Francji. Zajrzenie do pierwszej lepszej encyklopedji przekonałoby majora Lepeckiego, że czapki o kształcie rogatywek nie są żadną polską specjalnością... Wstęp francuski, dodany do całej tej książki, dostatecznie uwypukla jej zabawną całość"...

ZAGADNIENIE ŻYDOWSKIE

Zagadnienie żydowskie porusza Wojciech Zawilec („Zagadnienie sprawy żydowskiej w Polsce", „Młoda Myśl Ludowa", luty). „Ruch antysemicki w tych przejawach, w jakich występuje, świadczy, że sferom, inspirującym zajścia antyżydowskie nie chodzi o realne rozwiązanie sprawy. W tym wypadku sprawa żydowska jest raczej środkiem do wywołania warunków, korzystnych dla ekspansji partyjnej. Różne czynniki korzystają z zaognienia, jakie ujawnia się w stosunku do Żydów, — w związku z tem rzucają błyskotliwe hasła oraz wywołują efektowne wystąpienia: — chodzi o poruszenie mas, aby łatwiej podporządkować je własnym celom partyjnym".

Kronika ilustrowana



Gabrjel d'Annunzio, poeta, dramaturg i powieściopisarz, był jednym z twórców i piewców Włoch faszystowskich.



Władysław Grabski był wybitnym uczonym, politykiem, ekonomistą i publicystą.



Jeremi Wasiutyński otrzymał nagrodę „Wiadomości Literackich" za „Kopernika" (wyd. J. Przeworskiego), jako najwybitniejszą książkę polską 1937 r.



Tadeusz Żeleński (Boy) otrzymał nagrodę czytelników „Wiadomości Literackich" za książkę „Marysieńka Sobieska" (wyd. „Książnica-Atlas").

O powieści środowiskowej

Razporaz w ciągu lat ostatnich pojawiają się w naszej literaturze powieści lub półpowieści, odsłaniające jakieś mniej lub bardziej izolowane środowiska, anektujące na rzecz literatury te lub owe znane lub nieznane krainy. Niedawno takiem odkryciem „nieznanych światów" był „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy" Piaseckiego; przedtem jeszcze były „Zaklęte rewiry" Worcella, „Dzieci" Brzozy, a przedewszystkiem owe liczne, po wielekroć w najrozmaitszych odmianach reprodukowane reportaże „z dna", szare kamienice przedmieść, powieści z miejskiego podwórka, gdzie świat drobnomieszczańskiej nędzy sąsiaduje o krok ze światem nędzy proletarjackiej. Ostatnio do tej plejady przyłączono nową pozycję, „Strachy" Marji Ukniewskiej, o których w nr. 40 „Sygnałów" pisał Marjan Promiński.

Rozmaity jest ciężar gatunkowy tych powieści i rozmaite są ich legitymacje. Kiedy wszelakie reportażyki podwórzowe wątłym głosikiem usiłują nadać swym rewelacjom pozory jakiejś społecznej syntezy, inne zachwalają swą bezpośredniość w poznawaniu człowieka, inne wreszcie, pozbawione tak górnych aspiracyj, ciążą raczej ku t. zw. „lekkiej" lekturze. Krytyka, złudzona ich zewnętrznem podobieństwem — podobieństwem egzotyki tematycznej i autobiograficznego podkładu — naogół skłonna jest zestawiać je w jednym szeregu; tak też uczynił Promiński, zaliczając książkę Ukniewskiej do tego samego „typu twórczości", co Uniłowski, Worcell, Piasecki.

Postępująca inwazja nowicjuszów w literackiem rzemiośle oraz wyraźny trend na literaturę tego typu nakazują spojrzeć nieco bliżej w tę dziedzinę, wprowadzić niejakie rozróżnienia; tem bardziej, że klasyfikowanie wszystkich tych powieści w jednej przegródce powoduje nieraz niedocenianie utworów, które wyróżniają się czemś jeszcze prócz swego egzotyzmu. Mojem zdaniem, taki los właśnie spotkał „Strachy", zarówno ze strony Promińskiego, jak i A. Chor., recenzentki „Kurjera Polskiego". To prawda, że powieść ta, przedewszystkiem dzięki swemu „lekkiemu" tematowi, zdaje się skłaniać ku literaturze typu rozrywkowego. Napisana jest jednak z taką bezpośredniością i brawurą, tak pozbawiona pozy i zakłamania, zdradza tak doskonałe poczucie stylu i formy, świadczy w niektórych epizodach (jak słusznie przez Promińskiego podkreślony epizod Dubenki), o tak ciekawym talencie kompozycyjnym, że doprawdy nie jest rzeczą bez znaczenia, jeśli do rąk pożeraczy Vicki Baum, psychologicznych romansów i powieści „z życia" dostanie się książka tej kultury i smaku, co „Strachy" Ukniewskiej. Już to samo powinno wystarczyć, by warto było poświęcić im w piśmie literackiem jeszcze parę słów; ale nietylko o to chodzi.

Ilekroć pojawia się tego typu „środowiskowa" wypowiedź literacka, krytyka zachowuje się w sposób dość stereotypowy: konstatując z zadowoleniem fakt aneksji niezbadanego dotychczas terenu, ocenia fachowo przedewszystkiem wartość dokonanej eksploracji: podgląda jej autentyzm, bada zasięg i przepatruje curriculum vitae autora. Wartość utworu mierzy się trafnością oddanej atmosfery; ale sądy literackie formułuje się ostrożnie: to przecież jeszcze nie literatura, tylko autobiografja; autor — niezawodowiec — posiada ten handicap w stosunku do ludzi pióra, że pisze za niego samo środowisko; niech więc najpierw stanie się zawodowcem, niech wyrówna starty, a wówczas okaże się, co jest wart.

Otóż wydaje mi się, że w ocenie samej wartości tego rodzaju odkryć nieznanych światów skłonni jesteśmy do pewnej przesady. Jeśli ten egzotyzm święci w ostatnich czasach takie tryumfy, to zapewne nie bez winy krytyki, która znudzona jałowizną tematyczną naszych powieści chętnie szuka ucieczki w inne światy. Ale trzeba powiedzieć, iż wartość takiego wzbogacenia literatury jest co najmniej problematyczna; w każdym razie nie mierzy się ona sumą pozyskanych informacyj, obfitością „realjów". Czy to będą swary sąsiadek z jednej kamienicy, czy obyczaje inspicjentów teatralnych, nie wydaje się, by samo upowszechnianie tych wiadomości było wystarczającym powodem do uciechy. A. Chor. pisze spowodu „Strachów": „Kulisy teatru... odsłonily w tej książce swe czarodziejskie wnętrze. Okazało się, że nie jest ono wcale takie czarodziejskie, jakby się zdawało: pełno w niem jest ciężkiej, mozolnej pracy, trudu i mozołu, bardzo dużo łez i zmartwień i bardzo mało uroku zakazanego owocu. To jest interesujące, to jest nowe i to jest dobre". Otóż mam poważne wątpliwości, czy ta wiedza o prawdziwem życiu teatralnem była aż tak rewelacyjna; wydaje się, że złudzenia o czarodziejskiem życiu kulis żywią dziś jedynie — Teresy Sikorzanki, nim przestąpią próg teatru.

Jeśli natomiast chodzi o ocenę literacką, uważa się, że autobiografizm powieści przeszkadza wydaniu trafnego sądu. Powiada się mniej więcej tak: „Ba, to nie sztuka napisać to wszystko, gdy się to samemu przeżyło. Każdy kto miał bujniejsze, nieco odmienne od standartu życie, jeśli napisze swą autobiografję, może zdobyć powodzenie; ale jest to powodzenie chwilowe, przemijające, niemal mistyfikacja". Otóż to stanowisko, niewątpliwie niepozbawione słuszności wobec pewnego typu środowiskowej literatury, często staje się wyrazem nieufności krytyka do „niezawodowca", który nie odróżnia wątku własnego życia od wątku obserwacyj pisarza. W ten sposób właśnie do autobiograficznych wypowiedzi zaliczono również „Strachy". Ale co będzie, jeśli się okaże, że Ukniewska nie ma ze swoją bohaterką nic wspólnego? Otóż niema wątpliwości, że Teresa ze „Strachów" nie jest bynajmniej wizerunkiem własnym autorki. Ta głupiutka, zalękniona i ubożuchna duszyczka potraktowana jest w powieści z całym krytycyzmem; dystans autorki wobec niej jest zupełnie taki sam, jak wobec wszystkich innych postaci tego światka. Możemy być pewni, że gdyby „Strachy" pisała sama Teresa, bohaterka ich byłaby dziewczęciem niewinnem i szlachetnem na miarę Zarzyckiej, zrządzeniem losu zaplątanem w zdradliwy świat kulis. Nie, Teresa — to od początku do końca świadoma realizacja artystycznego zamierzenia. Rzecz prosta, że w materjale życiowym, z którego utkane są jej losy, i w materjale, z którego uformowany został świat Teresy, może być wiele faktów autobiograficznych, a jest niewątpliwie wiele autentycznej obserwacji środowiska. Ale czy to się nazywa „autobiograficznym wątkiem powieści"? Któryż to pisarz nie zużytkowuje w swem twórczym przedewszystkiem materjału własnych przeżyć i obserwacyj?

Otóż tu właśnie leży differentia specifica literatury środowiskowej i granica między dokumentem i dziełem sztuki. O dziele sztuki decyduje dystans pisarza wobec własnego tworzywa. Powieść „środowiskowa", która tego dystansu nie zachowuje, powieść napisana przez człowieka, który nie potrafił zobjektywizować w sobie własnego świata, który widzi go oczyma wszystkich tego świata uczestników, jest tylko wyznaniem wiary środowiska. Poczucie dziwności własnych losów pozwala pisarzowi odtwarzać swe dzieje w powieściowej postaci; zawsze to jednak będzie tylko dokument środowiska, ważny o tyle, o ile ważne jest samo środowisko i o ile dokument jest autentyczny. Jeśli jednak dokument taki staje się nietylko wyznaniem, lecz i sądem, jeśli objektywizuje świat, z którego się narodził, staje w równym szeregu z powieściami poczętemi z „fantazji" czy t. zw. wyobraźni pisarskiej. Takim sądem są n. p. niedokończone dzieje Kamila Kuranta; toteż włączanie Uniłowskiego do literatury typu dokumentarnego wydaje mi się nieporozumieniem takiem samem, jakiem byłoby włączanie tu n. p. „Dziewcząt z Nowolipek". A wydaje się niewątpliwe, że powieść Ukniewskiej należy do tego właśnie typu literatury, co „20 lat życia". Pomijam tu oczywiście sprawę odmiennej postawy duchowej; trudno mi zresztą powiedzieć, o ile prymitywna filozofja życiowa Teresy odpowiada postawie samej autorki.

Nie wiem, czy Ukniewska przymknie na stałe do literatury, czy też pozostanie w niej tylko jednodniowym ognikiem; by zostać pisarzem, trzeba trochę „musieć", trzeba mieć owo niemal zawodowe spojrzenie na życie, które niezawsze jest wygodne. Ale bez względu na dalsze jej koleje, wydaje mi się, iż „Strachom" należy oddać sprawiedliwość: to nietylko trafnie podchwycony wycinek własnego życia, lecz utwór literacki dobrej klasy.

Jerzy Pański

Sprawa Pasternaka

W nr. 2 lwowskiego pisma satyrycznego „Chochoł" (z dnia 13 lutego) ukazał się wiersz Leona Pasternaka. Wiersz jak wiersz. Wielu czytelnikom się nie podobał. Uważano, że był nieprzyjemny i nietaktowny. Cenzura jednak nie miała zastrzeżeń. Po trzech tygodniach warszawskie „A. B. C." zaatakowało ten wiersz, widząc w nim obrazę „Matki-Polki" i denuncjując autora jako komunistę. Nie wiemy, w czem „A. B. C." dopatrzyło się komunizmu, wiersz bowiem, wyszydzający — w sposób mniej lub więcej szczęśliwy — rasistowskie pomysły w kraju, w którym rasizm propagują mieszańcy polsko-żydowscy, nie miał nic wspólnego z komunizmem. Po czterech prawie tygodniach — od daty ukazania się — starostwo grodzkie we Lwowie skonfiskowało numer „Chochoła", w którym się znajdował wiersz Pasternaka. Równocześnie Pasternak, przebywający wówczas w Krakowie, został aresztowany i wywieziony do Berezy. Komunikat P. A. T., ajencji zatem oficjalnej, donoszący o zesłaniu Pasternaka do Berezy, powtórzył niemal dosłownie zdania z artykułu w „A. B. C.".

Zesłanie poety za wiersz do Berezy wywołało wielkie wrażenie w całym kraju. Nie będziemy powtarzali głosów prasy demokratycznej i socjalistycznej. Zaznaczymy tylko, że w obronie Pasternaka stanęły rycersko dwa pisma konserwatywne „Czas" i „Słowo". Cat-Mackiewicz („Na marginesie polemiki o „Przodownicę", „Słowo", 9 marca) pisze: „Zesłano Pasternaka do Berezy. Naszem zdaniem, niepotrzebnie. Pomijam już to, **że sama myśl obdarzania kogoś obozem koncentracyjnym za napisanie wiersza jest dla mnie obrzydliwa**, ale uważam, że Polskę stać na to, aby się obyła bez Berezy"...

Uważamy, że jeśli Pasternak rzeczywiście popełnił przestępstwo, drukując swój wiersz w „Chochole", to powinny się nim zainteresować organy sprawiedliwości. Mamy przecież prawo, które mówi, co jest, a co nie jest przestępstwem i za co obywatel może być karany.

Sprawa konfiskaty „Sygnałów"

Znana jest już w całej Polsce sprawa konfiskaty artykułu Haliny Górskiej „Nauczyciel życia", opisującego życie i działalność Stefanji Sempołowskiej. Jako motyw konfiskaty sąd podał, że artykuł miał na celu „przez gloryfikację osoby pod względem politycznym podejrzanej pochwalać przestępstwo". W tym samym numerze „Sygnałów" (nr. 29, z dnia 1 maja 1937), został również skonfiskowany artykuł Faustyna Tea-Gawińskiego „Polska na rozdrożu", będący sprawozdaniem z głośnej książki Marji Dąbrowskiej „Rozdroże". Sąd stwierdził, że artykuł ten miał na celu „szerzenie fałszywej, niepokój publiczny wywołać mogącej wiadomości o stosunkach wewnętrznych w państwie polskiem".

Naskutek wniesionego sprzeciwu wydawcy i redaktora odpowiedzialnego „Sygnałów" dnia 12 października 1937 r. odbyła się jawna, publiczna rozprawa w sądzie okręgowym we Lwowie. Sprzeciw popierali: znany obrońca Wacław Szumański z Warszawy i dr. Stanisław Dręgiewicz. Rozprawa została odroczona celem przesłuchania jako świadka Augusta Zaleskiego, b. ministra spraw zagranicznych. Dokładny jej przebieg podaliśmy w nr. 36 „Sygnałów" z dnia 1 grudnia 1937 r.

Przypominamy, że przebieg tej rozprawy poruszył poseł Tadeusz Kopeć w sejmie dnia 21 stycznia b. r. („Sygnały", nr. 39).

Dnia 11 marca wydawca i redaktor odpowiedzialny „Sygnałów" otrzymali następujące zawiadomienie: „Sąd okręgowy we Lwowie. Wydział VI. 1. karny. Dnia 25 lutego 1938 r. Sygn. VI. 1. karny. Pr. 87. 37. Posiedzenie jawne celem rozstrzygnięcia sprzeciwu przeciw postanowieniu o zatwierdzeniu konfiskaty czasopisma „Sygnały" odbędzie się w myśl § 493 p. k. z r. 1873 dnia 31 marca 1938 r. o godz. 9-tej w sali rozpraw nr. III, ul. Batorego 3, I. piętro. O powyższej rozprawie zawiadamia się Pana w myśl § 484 p. k. z r. 1873".

Sprzeciw będą nadal popierali Wacław Szumański i dr. Stanisław Dręgiewicz.

KORESPONDENCJA

SPRAWA JERZEGO P.

Do redaktora „Sygnałów"

W związku z umieszczeniem w nr. 40 „Sygnałów" z dnia 1. III. 1938 r. wierszyka Jerzego Kamila Weintrauba, zawierającego w treści swej krytyczną ocenę niejakiego p. Jerzego P., oświadczam niniejszem, że z wyżej wymienionym p. Jerzym P. nie mam, nie miałem i nie będę miał nic wspólnego.

Utożsamianie mnie z w. w. p. Jerzym P., które może nastąpić w sferach źle poinformowanych naskutek wadliwego sformułowania tytułu owego wierszyka przez p. Jerzego Kamila Weintrauba, wobec znanych mi cech osobości w. w. p. Jerzego P. poczytuję sobie za ciężką i niezasłużoną krzywdę.

W związku z tem przeciwko p. Jerzemu Kamilowi Weintraubowi występuję na drogę sądową, skierowując skargę o powództwo cywilne w wysokości 250 tys. zł. tytułem strat moralnych.

Jerzy Putrament (Wilno)

ŻYCZENIA

Do redaktora „Sygnałów"

Z wielką radością przyjąłem wiadomość, że „Sygnały" będą się ukazywały dwa razy w miesiącu.

Zasyłam najserdeczniejsze życzenia, aby „Sygnały", będąc szermierzem nowej kultury polskiej, zdobyły jak największą ilość czytelników i podwoiły pracę — skoncentrowały swą siłę i działalność w walce o Polskę Wolną i Demokratyczną, o Polskę szklanych domów!

Michał Chudy (Sierpc)

WYJAŚNIENIE

Do redaktora „Sygnałów"

Wobec objęcia redakcji „Szpilek" przez Eryka Lipińskiego, uważam swój dawny konflikt, który dotyczył byłego redaktora tego pisma, za załatwiony, i będę w niem nadal współpracował.

Tadeusz Hollender (Warszawa)

* *
*

Szaf-Lar. Do wierszy nie została dołączona koperta z nazwiskiem. Wiersze oddane zostały członkom jury.

„Izydor Kłonica"; S. Krywiec, Białystok; Basia Z., Lublin; Jakób Szk., Przemyśl; Roman St., Paryż. Wiersze zostały zdyskwalifikowane spowodu przekroczenia art. 4 konkursu poetyckiego (ujawnienie nazwiska).

Al. W. Rawa Ruska. Wiersz nie będzie drukowany.

„Tad. Straus". Warszawa. Wiersze nie zostały przyjęte spowodu przekroczenia art. 4 konkursu (ujawnienie nazwiska). Za miłe słowa serdecznie dziękujemy.

Jan Brzoza. Grabia. Wiersze nie zostały przyjęte spowodu przekroczenia art. 4 konkursu (ujawnienie nazwiska). Numer wysłaliśmy.

Kleks 1938. List nie będzie drukowany. Za życzenia serdecznie dziękujemy. Prosimy o dalszą pamięć i zasyłamy pozdrowienia.

E. L. T. Stanisławów. Przekłady nie będą drukowane.

Dr. I. W. Tarnów. List oddaliśmy Halinie Górskiej.

Ir. W. Częstochowa. „Panta rei" jeszcze nie do druku. Warto pisać. Za życzenia serdecznie dziękujemy i zasyłamy pozdrowienia.

L. M. Listu, bardzo interesującego, nie możemy umieścić ze zrozumiałych względów. Artykuły naukowe o zagadnieniach społecznych staramy się umieszczać od czasu do czasu. Nr. nr. 1—13 są wyczerpane. Inne, poczawszy od nr. 14, administracja wysłała. Zasyłamy pozdrowienia.

x. y. Warszawa. Artykułu nie umieścimy. Na ten temat drukujemy w dzisiejszym numerze artykuł Jerzego Putramenta.

G. A. Lwów. Listu nie będziemy drukowali.

W. G. Warszawa. Wiersz jest bardzo szlachetny, ale jeszcze nie do druku. Prosimy pamiętać o „Sygnałach".

O. C. Lwów. Wiersz nie będzie drukowany.

Karjera ludzkości

Po drzewach faceci skakali od lat,
włochaci i z mordą ponurą.
By z lasów ich wywieźć na pomysł ktoś [wpadł.
Asfaltem, domami wnet pokrył się świat
po piętro trzydzieste zgórą.

Dziś siedzą, przed pchłami uciekłszy z [swych stron.
Mieszkania ich para ogrzewa.
Gdzie dzwoni telefon, lecz nawet i on
nie sprawił, by inny panować mógł ton,
niż w owym czasie na drzewach.

Dziś słyszą i widzą daleko z swych miast.
Kontaktem z kosmosem się zwie to.
Więc czyszczą dziś zęby. Więc żyją nad [czas.
Gdyż ziemia jest gwiazdą szczególną wśród [gwiazd
z ogromną ilością klozetów.

Wystrzelają listy zapomocą rur.
Zwalczają mikroby w naturze.
Zaś z samą naturą toczą wieczny spór.
Wylatują w niebo, dotykając chmur,
i dwa tygodnie tkwią w górze.

Jeżeli coś strawią — to nawet i to
na watę przetworzą w te tropy.
Leczą kazirodztwo. I atomy tną.
Przez badania stylu całkiem pewni są,
że Cezar był płaskostopy.

Ustami i głową przechowują myśl,
posuwając wciąż postęp wraz z nami.
Ale ciągle nie trudno nam do wniosku [przyjść,
wciąż trudno nie stwierdzić, że zostali do [dziś
w gruncie rzeczy staremi małpami.

Erich Kaestner,

przełożył Tadeusz Hollender

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK **Z drukarni „POLIGRAFJA", Lwów, Lindego 6.**